



ARCHIWUM  
LEGIONÓW  
i N. K. N.

Nr 59

















**JÓZEF PIŁSUDSKI**  
**ŻYCIU CODZIENNYM**

*M. J. Wielopolska*















Temu, który Go umiał kochać uczuciem  
gołębim i silnym—dziecinnym i męskim—  
poza życie i poza śmierć—

Temu, który umiał dać temu uczuciu  
wyraz w szeregu monumentalnych dzieł:  
strzepach wiernego serca —

GEN. FELICJANOWI  
SŁAWOJ-SKŁADKOWSKIEMU

pozwałam sobie tę książkę  
o Marszałku Piłsudskim ofiarować

*Autorka*



59

log. 1746

M. J. WIELOPOLSKA





# JÓZEF PIŁSUDSKI W ŻYCIU CODZIENNYM







**CZYŚCIE WIDZIELI KIEDY  
LATARNIĘ MORSKĄ?**



**S**toit na skale daleko, wśród głębi wód, ze wszystkich stron rzucając rzesiste blaski, tak że jest omal przejrzysta, podana oczom ludzkim z abnegacyjną wprost szczodrobliwością. Mimo odległości, wydaje się bliska, podręczna, zgłębiona do dna, a jednak nikt nie wie, co się wewnątrz dzieje. Dopiero dnia któregoś umiera jej mieszkaniec, o bladym świetle otwierają się drzwi baszty na oścież i — dowiadujemy się, żeśmy nic o nim nie wiedzieli.

Tak jest z życiem i domem rodzinnym wielkiego człowieka. Okna jego wydają się otwarte na oścież, oświecone przeraźliwie i dogłębnie — wielki człowiek jest na oczach i na ustach wszystkich, każdy słyszy o nim, widzi go, każdy kolportuje inną wersję, inną bajkę, czarowną, naiwną lub złośliwą i perfidną o tym życiu, nie podlegającym ani w dzień ani w nocy zwyczajnemu prawu izolacji.

Każdy przechodzień jest pewny, że wie wszystko, co się za tymi jasno oświetlonymi szybami kryje, wie, co wielki człowiek w danym momencie robi, wie, co jada, nad czym grymasi, jak śpi, co lubi lub czego nie lubi, jakie kolory, jakie kwiaty, jakie książki. Wie, kogo z rodziny i spoza rodziny bardziej kocha, a kogo mniej, czym jest dla niego żona i dzieci lub plotkuje na ten temat niestworzone historie — bajkopisarz nieudany.

Taki jest przywilej gapiów, jak ziemia długa i szeroka.

Aż nagle, dnia pewnego, otwierają się drzwi domu, niby dawno otwartego na oścież, dla gości, dla natrętwów, dla włóczęgów — i w drzwiach staje trumna wielkiego człowieka.



Następuje chwila odrętwienia i konsternacji, chwila oficjalnej lub istotnej żaloby, a potem — zdumienie. Niepojęte zdumienie, że wszystkie właściwie spostrzeżenia i wiadomości na temat tego domu i tego wielkiego człowieka — były na ogół z palca wysrane, że życie jego rodzinne składało się z pierwiastków prostych i jasnych, tak mało skomplikowanych, jak bardzo skomplikowane — na odwrót — było jego życie zewnętrzne, życie czynu i władzy.

Anegdota zamiera u brzegu trumny, czekając jednak sposobnej chwili, aby przecież ubiec poważnych historyków, ubiec biografów, operujących metodami naukowymi i wnieść do czystego stopu prawdy — motyw sensacji.

Anegdota stawiała często czoła Historii, bardziej od niej przystępna, błyskotliwsza, gładsza, lecz może walczyć z nią nie należy — daje bowiem nieraz psychologiczny substrat kapitalny. Trzeba ją tylko, oczywiście, z prawdą historyczną skonfrontować i ocementować — o ile możliwe — świadectwem współczesnych.









**SZCZODROBLIWY PAN**







**N**ajwiększym człowiekiem w perspektywie dziejów polskich, był Józef Piłsudski. Odkąd się pojawił w Belwederze, odkąd został stałym jego mieszkańcem, omotała Go ciekawość ludzka i ta najpospolitsza, kuchennymi schodami chodząca, i ta historyczna, notująca skwapliwie, dojmująco, natrętnie, i ta partyjna, szukająca motywów propagandy za Nim, czy przeciw Niemu. Kiedy milczał Marszałek, fantazjowano na temat przyczyn tego milczenia, kiedy mówił, nie brano Jego słów po prostu, z pierwszej ręki, tylko doczepiano do nich dobudówki, nadbudówki, psując klasyczne ich linie, pstrząc nędznymi komentarzami, puszczając przez filtr domysłów i laboratoryjnych dociekań, co się za słowem kryje, co się czai za zgłoską. A mowa Marszałka była zawsze krótka, żołnierska, bijąca między oczy maczugą gniewu lub głaszcząca dobrotliwą, ojcowską pochwałą. Nie uważał za właściwe czynić Sobie dymnej zasłony ze słów i ze zgłosek.

Milczał lub mówił, albo albo. W gry dyplomatyczne ze Swoim narodem się nie bawił — nie ekshibował przykładów z własnego skarbcza i wiódł w domu, poza ludzkimi oczami, życie idylliczne, nie spotykane prawie pośród typów ludzkich ponad ludzką miarę.

Historia dała nam przykłady szczególnej pobłażliwości sądów ludzkich wobec wielkich ludzi. Na ogół byli oni w domowym pożyciu niezbyt wzorowi. Mężowie obojętni, ojcowie nienadzwyczajni w ludzkim zrozumieniu, bo wygrywający te dzieci swoje raczej jako atuty polityczne i snobistyczne (w znacznej mierze np. miłość Napoleona do syna!), otaczali się podnieceniami wszelkiego rodzaju, mniej lub więcej dyskretnie, jednak zawsze ze świętym przeświadczeniem,



iż nie ma na świecie nikogo, który by im cegokolwiek mógł zabronić. Etyka ich była pod znakiem zapytania.

Marszałek Piłsudski w gronie wielkich ludzi był wyjątkiem, kto wie — czy nie jedynym. Jego stosunek do kobiety był pełen szacunku i uprzejmości — pełen uwagi dla żon swoich oficerów, nie pozwalał nigdy czegoś niekorzystnego lub uszczypliwego o nich mówić, okazywał im często sporo serdeczności. Kiedy śp. gen. Skotnicka złamała nogę w r. 1929, odwiedził ją osobiście w Szpitalu Mokotowskim i nie ją jedną — tak samo odwiedzał chorych towarzyszy broni, jak gen. Stachiewicza. Miał te odruchy serca, szczodre i przyjacielskie. Miał je i poza życiem rodzinnym, w kole swoich żołnierzy.

Zanim rozpoczął tę normalną egzystencję rodzinną w Belwederze, wiódł w nim właśnie życie żołnierskie i spartańskie, niespokojne życie człowieka, któremu oddano władzę więcej niż dyktatorską, pełną władzę nad wielomilionowym narodem, pozbawionym jeszcze granic, wojska, urzędów i ustaw.

Miedzy innymi, pracowała podówczas w biurze belwederskim p. Karolina Bielańska — do niej więc zwróciłam się z zapytaniem, jak się kształtował za jej czasów ów żołnierski żywot w Belwederze?

— Pyta mnie Pani o moje wspomnienia z lat pracy biurowej w Belwederze, jako o przyczynek do „codziennego życia Marszałka“?

— Patrzyłam na Niego z daleka, jak wchodził i wychodził, patrzyłyśmy najczęściej wszystkie przez firanki, jak spacerował po tarasie, tam i na powrót, ważąc w Sobie jakieś doniosłe zagadnienia i decyzje i — wstrzymywałyśmy oddech w pierśsiach. Czasem patrzyłyśmy na przyjęcia i radowały uśmiechem na Jego twarzy. Nie słysząc słów z odległości, widziało się tyl-



ko, jak żywo opowiadał coś zabawnego Swoim gościom, i słyszało, od czasu do czasu, Jego szeroki, serdeczny śmiech. Do naszego biura przychodził rzadko, ale kiedy przychodził, była to zawsze sensacja i wzruszenie szalone. Panny przy maszynach po prostu spadały z krzeseł, a On przechodził, trochę pochylony, niby nie patrząc, ale pod wąsem miał jakiś dobrotliwy, ojcowski uśmiech i krótkie:

— Dzień dobry...

Ludzki był ten stosunek. Tak samo, jak nie przeszedł koło dzieciaka na podwórzu, aby go nie pogłodzić po czubku głowy, podobnie i na naszą gromadę, w której przeważała młodzież, nie patrzył chłodnym, obojętnym okiem z wysoka, jak na meble. Wiedział zresztą doskonale, że wszyscy prawie, to nie zebrani przypadkiem urzędnicy, kawałki swoje odrabiający, ale garstka wierna i z dawna oddana. Telefonistki, maszynistki — to wszystko peowiaczki były i „swoi ludzie“. Belweder przedstawiał wtedy jakąś wojskową kwaterę raczej, dominował element militarny, gnębiąc nawet nieco biednych cywilów. Zresztą — któż ważniejszy czasu wojny od wojska?

Komendanta miałam szczęście poznać osobiście dopiero w domowym zaciszu, dzięki dobroci p. Marszałkowej. Od razu zobaczyłam Go z dziećmi, które Go trochę tyranizowały. Każde spotkanie z Nim wywoływało dwojakie wrażenie: radość, że się na Niego patrzy, i strach, że Mu się przeszkadza. Dlatego najmilsze mi są wspomnienia wizyty w Sulejówku, gdzie był tylko uprzejmym Panem wiejskiego dworku, po staropolsku rad gościom i gwarzący ochotnie, jakby jakiś współczesnik Soplicy. Czasem patrzyło się z daleka, jak szedł w głąb ogrodu lub ku ulom i wtedy znowu przypominał coś bardzo dalekiego, coś piastowskiego.

Myślę, że są jakieś wartości, jakieś postawy życiowe, niezmiennie przez wieki całe, bez związku z rasą nawet i narodowością. Oto teraz, na przykład, w chwili otrzymania pani listu, czytam *Romancero o Cydzie*, ową może nazbyt patetyczną opowieść, jak wielki wojownik, obrażony słusznie na króla, żyje w zaciszu domowym. — Tam przyjeżdżają do niego z hołdem wysłańcy, dziwują się skromności i prostocie domu wielkiego człowieka, podziwiają przy tym dostojny wdzięk jego wiernej



żony Ximeny i urodę córek. Dla dziewczynek tych ojciec ma serce miękkie, pozwala im włożyć sobie na ramiona i całować się, ulega nawet ich zachciankom dziewczęcym, ale chowa je na córki rycerskie i każe patrzeć na bitwę.

Wysłańcom:

pokazał Cyd swe skarby:  
małżonkę swoją i córki,  
nie w złoto strojne ni w perły,  
lecz w serca dobroć. Niewinność  
śmiała się z pięknych ich twarzy...

Dziwowali się urodzie  
zacnych panien ci posłowie,  
a jeszcze więcej podziwu  
wzbudził w nich prosty obyczaj,  
prostota w ogóle domu rycerza...

— A jeszcze, kiedy dochodzę do ustępu o wiernej klaczy, towarzysze wszystkich bojów, którą sobie każe wielki wódz przeprowadzać — to zamiast Kastylii, staje jak żywy w oczach Sulejówek i K a s z t a n k a i obrazki tam widywane:

Drzemie wielki wódz w swym drewnianym krześle,  
koło niego siedzi Ximena z dwoma córkami.  
Haftują na cienkim płótnie — matka daje im znak,  
aby ojca ze słodkiego snu nie przebudzały...

— Teraz już przyszedł dla Wodza sen wiekuisty, kiedy powyższe słowa przepisuję dla pani i znowu mogę zakończyć słowami Cyda:

Teraz odchodzi na długo,  
jako zwykły człowiek, a tysiąc serc idą za Nim...





# ŚWIATY I ZAŚWIATY







**A**ch, jak tu ładnie, jak ładnie! — mawiał Marszałek zadowolony, gdy surowo wojskowy charakter Belwederu złagodniał i gdy urządziła Mu żona „narożny“, później ulubiony pokój. Ale w gruncie rzeczy Belweder pozostał tym reprezentacyjnym, uroczystym punktem — życie rodzinne rozwijało się i kultywowało jedynie na wsi, w Sulejówku i Pikiliszkach. Tu też piętno Jego osobowości było głębsze i bardziej w oczy bijące, a obecność nasycala jakby mury i każdy sprzęt.

Kiedy pierwszy raz po śmierci Marszałka przekroczyłam progi nowej siedziby pani Marszałkowej w Warszawie, tu dopiero uderzyła mnie Jej straszliwa żałoba.

Jakże tu cicho i jak dziwne się wydaje, że nie ma Jego obecności w pobliżu pani Marszałkowej, jak w tamtych dworach. Tak opacznie, że tu, gdzie Marszałka trójka ukochana założyła sobie gniazdo, nigdy Go nie było i nigdy nie będzie.

\* \* \*

Nauka bagatelizuje wszystko, co związane jest ze wspomnieniem o zmarłych, wszystkie fenomeny, związane z emanacją ich własną, pogrobową, czy też z emanacją naszych za nim tęsknot. I źle robi. Są to na pewno rzeczy fizjologicznie czy fizycznie umotywowane — ta substancja, naszymi tęsknotami za zmarłym wytwarzana. Czy to radioaktywne jakieś działanie pośmiertne, czysto fizycznej natury, przez promieniowanie ciała, czy genialnej kory mózgowej? — nie wiem, nie wiem.

Ale, że coś jest zadziwiającego i dziś przez naukę po-



miniętego głupim milczeniem i niepotrzebnie zaliczanego do zjawisk nadprzyrodzonych — to pewne. Głos żywego człowieka wszakże, przemawiającego przez radio, gubi się nieraz w eterze i wraca niespodziewanie, wtedy, kiedy ten człowiek jest nieobecny, a może nawet już nie żyje. Nawet się nie wie, w jaki sposób wibracje nie zatracają swej formy w szalonym, niepojętym gonie między gwiazdami.

Kto wie, czy tak się nie dzieje z siłą potencjalną wybitniejszej jednostki, z siłą, która nie podlega tak szybko działaniu śmierci, jak tkanki. Zresztą giną co dzień i spalają się nasze tkanki, a my żyjemy — jaki procent się spala? Nie wiem, nie wiem. Jestem osobą nie wierzącą w byt pozagrobowy; dla mnie śmierć — to Nirwana, cisza i odpoczynek mroczny i wiekuisty, przy jednoczesnym zmartwychwstawaniu sokami, którymi rozkład naszych ciał zasila glebę... Więc — o ile w braku wszelkiej wiary w tzw. duchy i w braku wszelkiej wyobraźni, widywałam w związku ze śmiercią Marszałka rzeczy, które nie podpadają dotychczas żadnej klasyfikacji naukowej, realnie, naocznie, to nie mogę przechodzić nad tym do porządku dziennego i zaliczać dziwnych zjawisk do przesądów, histerycznych halucynacyj itp. A widziałam rzeczy dziwne i sny miałam dziwne.

Bardzo prędko po śmierci Marszałka zabrała mnie pani Marszałkowa do Sulejówka. Jest tam weranda, która z powodu ciemności i pnących roślin, wydawała się zupełnie zamknięta, z jednym nieco jaśniejszym wąskim wyjściem na ogród. W oknie nie świeciła się żadna lampa. Kiedyśmy więc na niej siedziały we dwie, około 8-mej wieczorem, w ów pochmurny, deszczowy dzień, nie widziałyśmy się na-



wzajem. Siedząc tyłem do ogrodu, ledwo dostrzegałam sylwetkę pani Marszałkowej, siedzącej za stołem i omal że opartej o ścianę. Mówiliśmy w tych ciemnościach zrazu o rzeczach obojętnych, ale po chwili Marszałkowa wróciła do swego najdroższego tematu, do Męża. Zaczęła opowiadać o ostatnich Jego chwilach. I w trakcie tego opowiadania, widzę nagle dużą smugę światła za plecami Marszałkowej. Mimo woli obejrzałam się, skąd padło światło? bo ani słońca, ani lampy — nic. Mówimy dalej, lecz ciągle mię intryguje i drażni ten blask liliowy i niewytłumaczalny. W końcu przerywam i powiadam:

— Pani Marszałkovo! Takie dziwne światło stoi za Jej plecami...

Marszałkowa uśmiecha się dalekim, żalobnym uśmiechem i milczy, a mnie owiewa zupełnie realnie świadomość obecności trzeciej osoby.

Wstałam, obeszłam stół — niedowiarek uparty — i nachyliłam się nad Marszałkową. Światło ciągle błyszczało podłużną smugą, między nią a ścianą, a kiedy szłam potem z Marszałkową ku stacji, ciemnym laskiem, szedł przede mną ciągle ten dziwny słup światła, choć (czułam to wyraźnie), było już ono nierealne, a tylko pozostało jako wrażenie po tamtym świetle, realnym, namacalnym, absolutnie istotnym.

Jak wiadomo (wykazała nam to zresztą audycja z muzeum belwederskiego) cały żalobny dwór wciąż niepokoją trzaski i dzwonki, zwłaszcza dzwonek z narożnego pokoju. A jakież szalony, opętańczy współudział brała przyroda w godzinach śmierci Marszałka i pogrzebów — fakty powszechnie stwierdzone i zaobserwowane.

O godzinie południowej w Krakowie, w chwili, kie-





*Stacja Sulejów.* dy płakały Mokotowskie pola wokół żałobnej lawety, stało się nagle tak czarno, taka niezgłębiona noc zapanowała nad miastem, że zaćmienie słońca w r. 1914 było fraszką. O dwa kroki od siebie przechodnie się nie dostrzegali — we wszystkich mieszkaniach zaświecono lampy — podczas gdy straszliwy huragan rozdzierał flagi i krepy.

Na Mokotowskim polu też współdziałała przyroda, w sposób niezwykle naświetlając lawetę z trumną na wzgórzu. Trzynaście białych ptaków krążyło bez przerwy nad placem, zniżając się na długość ręki.<sup>1</sup>

Jednak mózg genialnego człowieka, to nie byle co w naturze! Katastrofy z nim związane odbijają się zjawiskami niepowszednimi na ziemi i na niebie. Kiedyś, kiedy nauka zgłębi rozmaite przyczyny fenomenów, dziś traktowanych jako nadprzyrodzone lub wyimaginowane i halucynacyjne, względnie po prostu przypadkowe — wtedy zrozumiemy, dlaczego tak się w Polsce działo, po polach, po ulicach, po domach

<sup>1</sup> Otrzymałam o tym wiadomość od Zw. Sybiraków.



prywatnych w chwili wstąpienia Wielkiego Marszałka w mroki wieczności. Dziś, powtarzam, kładzie się to na karb rozzaleń, nerwów i przywidzeń — choć zdawałoby się, rzecz jasna, że musi być pewna hierarchia śmierci, że jest jakaś różnica między odejściem człowieka ponad miarę ludzką, a odejściem zwyczajnego zjadacza chleba, na miarę krawca. Nie wierzę w niehierarchiczność śmierci. Luka, raptem wytworzona, musi wzniecić pewien zamęt i oddźwięk, tym gwałtowniejszy, im większa odeszła jednostka.

\*       \*       \*

W godzinę zimowej burzy niezwyklej rodził się Józef Piłsudski w Zułowie — w godzinę burz i kataklizmów atmosferycznych szedł ku krypcie Swojej na Wawel.







*Fragment Belwederu w Warszawie, Alwarela Maciej Nehring.*



**BELWEDER — RODZINNE ZACISZE**







**N**a dwa lata mniej więcej przed śmiercią Marszałka, rozmawiałam kiedyś z p. Marszałkową, wyrażając delikatnie mniemanie, że ogromnie skomplikowane musi być współzycie z człowiekiem tej miary co Marszałek i niezmiernie się zdziwiłam, gdy Marszałkowa temu zaprzeczyła. Tak prosty, tak łatwy miał być w życiu codziennym! Zawsze wspólne obiady z rodziną (a wtedy nie lubił obcych twarzy przy stole), zawsze wesołe rozmowy i zabawne anegdoty. Nigdy złego humoru, nigdy złego słowa. Zadziwiająco zgodny i łatwy w pożyciu domowym!

\* \* \*

Jak nie lubił zajmować Sobą, jak krył zmęczenie i osłabienie!

Za pobytu mego w Wilnie, pokazywano mi w pałacu Rzeczypospolitej, w klatce schodowej, która prowadziła do prywatnych apartamentów Marszałka — dracenę. Niepiękną, lekko żółkniejącą dracenę. Ile razy siedł Marszałek na górze, zatrzymywał się przy tym niepokaźnym smoczym drzewku i z niezmiernym zaciekawieniem przyglądał się jego postaci. Coraz dłużej przystawał tutaj, coraz dokładniej dracenę oglądał, a nikt nie wiedział dlaczego i co tak bardzo interesuje Marszałka w plancie mało urodziwej, niepodobnej w niczym do leśnych, polnych roślinek, skromniutkich, które On tak kochał. To nie sanka przecież, ani nie goździk dziki...

Z czasem doszli przyczyny. Oto, im bardziej zbliżał się kres życia Marszałka, tym bardziej męczyły Go schody, a nie chcąc okazywać tego zmęczenia, maskował je, zdaje się, szczególnie dla draceny afek-

*Historyczna dracena na schodach w pałacu Rzeczypospolitej w Wilnie.*



tem. Toteż ze wzruszeniem przyglądamy się dziś jej pożółkłym liściom — jest ona bowiem jeszcze jednym symbolem tego odwracania uwagi Marszałka od Siebie, od własnego zdrowia. On wiedział, że z Nim źle i dlatego w tak nadludzkim tempie pracował, a aby praca Jego była owocniejsza, dlatego utrzymywać chciał społeczeństwo w mniemaniu, że będzie ona omal że nie wiekuista. Myśmy wszyscy po trosze wierzyli w tę wiekuistość...

\*       \*       \*

Dla Siebie Samego był trudny — w drobiazgach życiowych nikomu nie zaciężał wymaganiami i grymasami. Miał potrawy, które lubił i miał kilka, których nie znoślił (co najdziwniejsze np., że między tymi ostatnimi, kołduny litewskie, On, który wszystko lubił co pochodziło z Litwy!). W ostatnią wiosnę Swego życia prosił Marszałkową, aby Mu dużo weków z kompotami przygotowała, lecz nie doczekał się lata, ani pory owoców... A te miał zawsze przy łóżku na noc.

Łóżko było wysunięte na pokój, z jednej strony stał stolik z papierosami, popielniczką i zapalkami — z drugiej — owoce, fotografie dzieci, rewolwer, szklanka herbaty, landrynki i termometr. Dawniej pijał dużo tej herbaty, z czasem znacznie mniej, a wcale nie pijał kawy. Legenda o niezliczonej ilości filiżanek czarnej kawy, wypijanej w ciągu nocy, powstała stąd, że kpt. Lepecki, dyżurując nocami przy Marszałku w Inspektoracie, kazał ordynansom raz po raz przynosić sobie czarną kawę. Nie podniecał się Marszałek niczym, ani nie uśmierzał bólów. Kiedy był chory, bańki mu czasem stawiała jego chrzestna córka, gen. Rouppertowa (Baja Jędrzejowskiego jedy-



naczka), opiekowała się drowa Woyczyńska, siostra Seretna i inne... Jediną namiętnością były papierosy. Wino lubił stare, węgierskie, lecz pijał rzadko...

\* \* \*

Przypomina mi się jeden incydent „winny“, świadczący o niebywalej pamięci Marszałka. W roku 1915 posłałam ówczesnemu Brygadierowi przez żołnierza I brygady, Stanisława Hellera, uratowane spod inwazji rosyjskiej ostatnie trzy butelki starego, wytrawnego wina węgierskiego. Tradycja rodzinna głosiła, że była to pozostałość z beczki, z której powstańców 63-go roku traktował na Podolu mój dziadek. Otóż kiedy w r. 1927 wprowadziła mnie pani Marszałkowa na górę do gabinetu, niedomagającego podówczas Marszałka, z miejsca mnie zapytał:

— Czy to pani mi przysłała w 1915 r. na front 3 flaszki wina? Dobrze było winko...

Zaskoczona, ledwo odbąknęłam, że tak, a z mojej emocji uśmieła się pani Marszałkowa, lecz, prawdę powiedziawszy, nie pamiętałam już o tej wysyłce, tylko Marszałek pamiętał.

\* \* \*

Dzień Marszałka był ujęty w ścisły program. Wstawał koło 10-ej rano. W Belwederze i na wsi. Śniadanie — szklankę herbaty i bułeczkę z masłem przynosiła Mu Marszałkowa — a w Inspektoracie — dr Woyczyński lub adiutanci. Podawało Mu się też zaraz z rana *Kurier Poranny* i *Ekspres*, a w Krynicy ponadto *IKC*. Ubierał się sam, golił się sam, a tylko do strzyżenia przychodził fryzjer z Alei Jerozolimskiej. Po dokonaniu toalety, udawał się do narożnego po-







koju i tam układał sobie dokładny program na cały dzień, względnie rozwijał zadanie ułożone z wieczora. Najmniejszy drobiazg natury urzędowej musiał głęboko rozważyć i przemyśleć. O godzinie 12-ej zjadał drugie śniadanie (ulubione świeże sielawki, kawałek szynki lub innej wędliny) — o 3-ej obiad. Po grypach, kładł się na chwilę na poobiedni odpoczynek, a od godziny 5-ej, po herbatce, podawanej Mu znowu przez p. Marszałkową, pracował dalej. Od 6-ej do 10-ej wieczór, przyjmował urzędowo, od 11-ej do 12-ej w nocy znowu pracował, siedząc w narożnym pokoju. O 12-ej w nocy przychodził kpt. Lepecki z dziennikami i tygodnikami. Czytał je i dawał dyspozycje adiutantom.

Nie umiał spać bez światła. Nie miewał prawie nigdy snów. Raz tylko dziwny Go nawiedził majak. Oto, proszony na święto pułkowe szwoleżerów, musiał odmówić, ale obiecał, że o wieczornej godzinie wypije lampkę wina za ich zdrowie. Tymczasem o winie zapomniiał i wtedy to przyśnił Mu się jeden z dawno zmarłych szwoleżerów, przypominając obietnicę...

W ostatnich latach, kiedy zdarzyło się, że przebywał w Inspektoracie — całe noce dyżurowali w pobliżu adiutanci lub dr Woyczyński.

Tak wyglądał normalny dzień, kiedy Marszałek nie był zajęty w Inspektoracie.









M A M O N A





*Sulejówek. Dworek drewniany, w którym pierwotnie mieszkał Marszałek z rodziną zanim stanął dwór murowany, obecny.*

**N**ie wspominam już o wszystkich dawnych wersjach, dotyczących się poborów i dochodów Marszałka — te zostały sprostowane, a zresztą nawet w pamięci najzagorzalszych wrogów pozostała postać Marszałka czysta i wysoko się wznosząca ponad sprawy utylitarne, prywatne. Jednak warto przypomnieć, że do roku 1926 On, b. naczelnik państwa i naczelny wódz, pobierał ok. 1200 zł miesięcznie, że działały się w Polsce takie anomalie, iż do roku 1919 On, naczelny wódz, twórca wojska polskiego, nie miał żadnego stopnia wojskowego, jako że p. Wojciech Trąmpczyński, marszałek Sejmu Ustawodawczego, chował pod sukno wszystkie energiczne wołania o nadanie tego stopnia Józefowi Piłsudskiemu. Rzecz niepojęta!!! Wojsko dopiero usunęło skandal i rękami najmłodszego kawalera „virtuti militari“ Jana Wężyka z 5 p. p. Legionów, wręczyło dnia 19 marca 1920 r. buławę ukołochanemu Wodzowi. Tak się to dziwnie składało w Polsce, że prawie zawsze wykładnikiem honoru i sprawiedliwości na Jej ziemiach byli żołnierze...



Nie korzystał też Marszałek z przysługującego mu prawa do bezpłatnego wojskowego nadziału ziemi. W Sulejówku kupił drewnianą willę z laskiem, znacznie później dopiero Komitet Żołnierza Polskiego wybudował mu obecny dworek. W roku 1922 nabył Świątniki, chcąc mieć punkt odpoczynkowy, daleki od gwaru, szosy i kolei. Lecz kiedy przeprowadzono opodal szosę i Marszałek na to narzekał, pani Milicerowa zaproponowała, aby Komitet Daru zamienił tę działkę na inną, mianowicie na Pohulankę w Druskienikach. Lecz Marszałek odmówił, oświadczając, że dopokąd będzie się mógł kąpać, będzie jeździł do Druskienik (do willi dzierżawionej tamże od B.G.K.), a kiedy nie będzie już mógł — to chce mieć kąt na szczerej wsi, daleko od jakiegokolwiek miasta. Więc za nic nie chce Pohulanki.

\* \* \*

W owym okresie właśnie, jak wiemy z oficjalnych enuncjacji, p. minister pracy i opieki społecznej poszukiwał jakiegoś ośrodka, odpowiedniego na sanatorium dla dzieci gruźliczych. Okazało się, że jedne jedyne Świątniki odpowiadałyby wymogom. I wtedy to, minister reform rolnych, wiedząc, że Marszałek niezupełnie jest ze Świątnik zadowolony, zaproponował Mu zamianę ich na inny obiekt, należący do skarbu państwa. Marszałek zastrzegł się, że zamiana odbędzie się na drodze ściśle przepisowej, ustawowej, to jest, że głowa za głowę, wartość za wartość, ilość za ilość i że ofiarowany obiekt będzie oddalony od miasta i koniecznie z jeziorem.

Świątniki w roku 1930 przedstawiały wartość, wedle skali szacunkowej Banku Rolnego, bardzo ni-



skiej, 105.000 zł, na taką sumę więc drobiazgowo wykrojono z dużego klucza: Pikiliszki, Aleksandrówka i Leśniczówka (wielkości ogółem 619.080 ha) 135 ha, przedstawiających dokładnie tę samą wartość, i Marszałek jeszcze tego roku objął Pikiliszki. Było tu trochę nieużytków, 34 ha gruntu ornego, 25 ha łąk i 73 ha jeziora. Bardzo kategoryczny i surowy nacisk kładł Marszałek, aby ani na milimetr ziemi, ani na grosz szacunku nie było różnicy w zamianie jednego obiektu na drugi.

\*

\*

\*

Przywiązywał się do swoich kątów i sprzętów. Nie lubił żadnych zmian w umeblowaniu, a nawet w ubraniu. Pod tym jednym względem, był zdecydowanym konserwatystą.

\*

\*

\*



**MORZE**

**PROPAGANDA MORZA I SASANKI**





*Sulejówek. Dwór od strony ogrodu z ukochanymi lipkami Marszałka.*

**D**o przyrody, do krajobrazu, odnosił się Marszałek ze znanstwem i szczerym zachwytem. Lubił wieś nade wszystko, choć wiejskie gospodarstwo Go nie zajmowało. Pasjami lubił góry, lasy i jeziora a, dziwna rzecz, nie cierpiał morza i zawsze tyłem się do niego obracał...

Może tu szukać należy hiperbolicznego źródła plotek o awersji Marszałka do morza?!

Zarzucono Mu i bodaj że zarzucają do dziś w niektórych upośledzonych kołach, że On swego czasu najspokojniej wyrzekał się Pomorza i morza, a wnioskowano na tej zasadzie, że kiedyś tam jakaś „li-g-a w k a” impetycznie piorunowała z estrady, że Polska może doskonale zrezygnować z tegoż Pomorza i morza.

A tymczasem — mój Boże! Jeszcze się naszym „n a r o d o w y m z b a w c o m” nie śniło o przygotowaniu rewindykacji tych ziem, kiedy już (z końcem roku 1914) opracowywano w Rapperswylu i rozrzucono po wszystkich ośrodkach zrzeszeń niepodległo-



ściowych w Europie i Ameryce broszurę Konstantego Żmigrodzkiego o dawnej marynarce Rzeczypospolitej, o polskości Pomorza odwiecznej, z etnograficznymi mapami i datami, dowodzącymi skrupulatnie o 100-procentowej ilości Polaków na tych terenach zagrabionych! Już wtedy pilsudczycy (najgorliwiej Stanisław Zieliński w Rapperswylu) przygotowywali akcję, już wtedy Marszałek twarzą do morza był zwrócony, choć w „o s o b i s t y m“ z nim zetknięciu odwracał się doń tyłem.

Kiedy przyjeżdżał do Sulejówka, pierwsza rzecz, musiał skontrolować stan ukochanych drzewek — grusz, ofiarowanych przez legionistów, a schowanych między sosenkami, jabłonki posadzonej przez Marszałkową na Jego imieniny i najmilszych młodych lipek.

Za dworkiem stały obok siebie: wiśnia i jabłoń. Kiedy raz kwitły obie, spojrzał na nie Marszałek i rzekł:

— Wyglądają jak panny młode w ślubnych welonach, tylko wisienka jest biała, niewinna i nieuświadomiona, a jabłoń rumieni się. Ona już wie, już jest uświadomiona...

Rozumiał mowę przyrody.

Ledwo wysiadł z samochodu, szedł liczyć sasanki najmilsze (pulsatilla), kwiat tak szczególnie Jemu miły, że należałoby, aby Polska obrała sobie te leśne kwiatki Wodza za kwiat narodowy, jak bławatek jest pruski, a konieczyna irlandzka. Swego czasu rozpisano nawet konkurs, o ile pamiętam jeszcze przed wojną, jaki właściwie kwiat obrać za reprezentacyjny. Padły głosy za różą, za mimozą, za fiołkiem a — zdaje mi się — wygrała koncepcja w r z o s u. Mo-





*Sulejówek. Naj-  
usubieńszy „dzi-  
ki” punkt ogro-  
du — w głębi, na  
prawo, kąt sasa-  
nek.*

żeby tak wznowić te dyskusje i dać Polsce sasanę, jako kwiat symboliczny i narodowy — „kwiat Niepodległości“.

Razu pewnego Marszałek wyjeżdżał w wilię Swoich Imienin z Warszawy. Marszałkowa odprowadzała Go na dworzec Wileński. Już dawano sygnały odjazdu, już pociąg ruszał, kiedy raptem Marszałek wychylił się z okna wagonu raz jeszcze i zawołał:

— Obiecuj mi, że mi jedną rzecz załatwisz, ale koniecznie...

— Oczywiście — odpowiada Marszałkowa — ale o co chodzi?

— Zaraz, teraz, kiedy przyjedziesz do Sulejówka, pójdz do ogrodu i dokładnie mi oblicz, ile sztuk sasenek już zakwitło?...

Od królewskiego błękitu oceanów, wołał skromniutką, liliową niebieskość sasanki, od wszystkich dostatków, wołał polskie kwiaty polne...

\*

\*

\*

*Sasanki, kwiat  
Marszałka.*







Toteż, kiedy przekładano Jego święte szczątki na Wawelu ze srebrnej trumny do kryształowej i zmieniano Mu mundur, znaleziono w kieszonce na sercu i włożono z powrotem — małą wiązaneczkę zeschniętych i zszarzałych kwiatów. Poszedł z nimi, z bładą Swoją pamiątką, złożoną przez kochane „wi e d z a c e“ ręce, pod wieko Swego monarszego sarkofagu.

\*       \*       \*

Tak przeleżał wiele tysięcy lat nieznany faraon pod ciężarem kruchej wiązanki stokrótek, które znalazł niedawno uczony egiptolog, ogromnie się dziwiąc, że, oparłszy się stuleciom, nie dały się jemu dotknąć w grobowcu — one jedne — że rozsypały się w popiół, w atom popiołu...

\*

\*

\*



# **EKSTERYTORIALNOŚĆ MARZENIA**









Sulejówku, na płowych, pluszowych taśmach piachu, rozciągniętych między jedną sosenką a drugą, między jedną brzózka a drugą, pełno było intrygujących przelaszczek, grzybków, roślinek i rdestów. Wątlutkie liście i łodyżki, i — ważna brać — całe uparte kolonie grzybów, wiernych miejscu. Wszędzie na takich ścieżkach ogrodowych, zręczna i bezmiłosierna ręka gospodarzy ścina te łebki zuchwałe brązowe, miedziane i pąsowe i podkopyje energicznie ich twarde korzenie.

— Miejsca macie dość pod drzewami, na murawie, na mchu, w cieniu wilgotnych sosen i świerków! Nie psujcie nam linii ścieżek i alei ogrodowych, nie krępujcie cywilizowanej wolności naszych tras, naszych spacerów, ani impetu rozbieganych nóżek naszych dzieci!!! Wiemy, że jesteście czasem pożyteczne, że jesteście malownicze, zwłaszcza wy, grzyby wielorodzajowe, że wasze tu prawo odwieczne: skoro tylko skrawek gruntu nadaje się dla waszych wielmożnych korzeni, waszej dziwacznej fruktessencjonalności czy pozornemu kwitnieniu — okupujecie go. Wiadomo. Tak było od wieków, od czasów Perkuna. Żadne prawo nie może się przeciwstawić prostej logice faktu, że skrawek ten, a nie inny, odpowiada waszym potrzebom rozwojowym.

W uroczystkach leśnych, czy zgmiotło was walące się stare drzewo, czy zdeptało kopyto rozwścieczonego tura, czy zrył was śpiczasty kiel gniewnego dzika lub zniosła woda jakiejś ulewy — wyrastałyście znowu, zajadłe swej posiadłości terenowej broniąc. Prostowałyście znowu swoje fantastyczne czuby, sytne lub jadowite, rozrodzone wszystkimi drogami multiplikacji, od wegetatywnych aż do kopulacyj-



nych i partogenetycznych: stwory niesamowite, nie ujęte żadną formułą naukową, nie podpadające żadnej klasyfikacji botanicznej, inne od wszystkich, a więc przez to samo bardziej człowiecze, bardziej bajkowe, bardziej samowładne, najstarsze inteligencją, najwyższe pośród leśnych stworów roślinnych. Kryptogamy złe lub dobre, lecz jednako uparte, niedostępne i podstępne. Nikt w lesie tak jak grzyby nie umie się przystosować do warunków, zmieniać dla nich całego trybu swojej istoty, swoich zasadniczych, przyrodzonych praw bytowania i mnożenia się — byle utrzymać w posiadaniu ojczysty kawał gruntu, byle nie opuścić siedziby, tak wiecznej, jak leśne prawo i jak — legenda.

Bo jednak przez tę swoją żelazną wytrzymałość przeszły grzyby w legendę, mimo swej bezkwiatowości — jak mech, jak wodorost, jak paproć, choć o całe niebo w rozwoju od nich wyższe. A może właśnie dlatego, że bezkwiatowe, że w zdławionej, w nieobjawionej, zatajonej swojej florescencji, która jest w naturze powszechnie jawna, pobudzają te stwory leśne do powstawania wokół siebie baśni najróżniejszych. Tajemnica pobudza zawsze imaginację człowieka. Więc bajki nasze otoczyły i paproć, i mech, i wodorosty, i grzyby — siecią mirficzną, nimbem marzenia; nie mniej, powtarzam, na ścieżkach naszych ogrodów trzebimy je z pasją, co się zowie, sapką wyostrzoną gruntownie podcinając ich zuchwałe korzenie.

Ale, kiedyśmy wchodzili do ogródka sulejowieckiego, do siedziby pana Marszałka, inny zastawaliśmy tu bieg rzeczy. Uderzał nas widok ścieżek, gęsto okupowanych przez miedziano-czerwone misiurki grzybie, łączone iście brabanckim ścięciem rdestów i po-



woików, jeden z drugim. W porządku, jakim się odznacza każda dziedzina gospodarstwa pani Marszałkowej, zdumiewały te... nieporządki i to delikatne ponadto upomnienie odwiedzających, aby... nie deptali grzybów.

Trudno. Tak być musi. Pan Marszałek bronił praw leśnego ludu. Wyszedł przecież Sam z leśnych uroczysk litewskich, gdzie mchy, paprocie i grzyby były totemiczną świętością od niepamiętnych czasów, okraszone, owiane, omotane przędzą baśni.

Charakterystyczne było u tego Człowieka, najbardziej złożonego z przeciwieństw, z żywiołowej postępowości i niemniej żywiołowej tradycji, jak bardzo bronił „eksterytorialności marzenia”. Mieszkańcy leśni, harde łebki, misiurką kolorową, janczarską okryte, ludkowie twardzi i nieugięci i włókieńka pajęczce, zielone, rozplaszczone pokornie na żwirze — to wszystko u Niego było nietykalne. Nawet rozhukanie nóżek dziecięcych (kiedy Wanda i Jagoda malutkie były) musiało się poskramiać wobec tej śmiesznej, czupurnej lub ledwoznacznej bładozielonej barykady, musiało obchodzić Wilijne Koło grzybiej tyraliery rozważnie i ostrożnie i — na nic niczyje protesty! na nic kodeksy grabi i miotel! na nic sacrosanto porządków gospodarczych, na nic kanony ogrodnicze, ani — jako się rzekło — instancja dla Marszałka najważniejsza: swoboda nóżek dziecięcych!!!

Legenda, baśń, cudeńka z puszczy leśnych przeniesione — były na zawsze w Sulejówku nienaruszalne. Jak bardzo nienaruszalne, skoro nawet dzieci musiały się nauczyć o „eksterytorialności marzenia”, na zawiłych ścieżkach Pana Marszałka obowiązującej...







**„TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ  
RZECZY PRZYJEMNYCH A NIE-  
KONIECZNIE POŻYTECZNYCH“**





*Marszałek przy ulu  
w Sulejówku.*

**U**le na Swoich „dobrach“ obserwował z daleka i mówił, że nie rządzi w nich żadna królowa, że rządzą tu trutnie i trutnie uczą rozumu pracownice, a królowa tylko rodzi.

Jeden ze starostów powiatów kresowych zainteresował Marszałka azaliami pachnącymi, rosnącymi tam dziko w lasach. Obiecał je Marszałek królowej rumuńskiej Marii i ponoś przez posła hr. Szembeka posłał na dwór do Bukaresztu. Z Madery przywiózł dla dziewczynek dużą gałąź z bananami, z której, nawiasem mówiąc, gdy leżałam w klinice, dostałam sporą część na święcone w 1931 r., a cała klinika potem lampami kwarcowymi usiłowała zasuszyć i zakonserwować mi na pamiątkę tę gałązkę, zachowaną istotnie do dziś... W ostatnich czasach Swego na ziemi pobytu cieszył się niebieskimi hortensjami, otrzymanymi od p. Protassewicza.

Lubił nade wszystko, poza leśnymi — jako się rze-



kło — drobnymi kwiatuszkami, jak dziki powój i dzikie goździki (kartuzki), rezedę, maciejki, białe lilie, hiacynty i groszek wonny. Interesował się aurą i ze względu na Siebie i ze względu zapewne na swoje roślinki. Zawsze był termometr zawieszony na oknie i co dzień wieczór i rano meldowana temperatura. Tak w Belwederze, jak w Sulejówku, miał gołębie pocztowe, które Sam karmił. W ostatnie nawet dni przed śmiercią, na Wielkanoc, z werandy karmił Swoje ptaki. Wilk strażował wiernie nad siedzibą w Sulejówku.

Będąc na Swoich nieoficjalnych terenach, nie lubił intruzów, bramy były zamknięte dla prasy, dla fotografów, dla reporterów, bo poza tym uważał, że spełniają oni swój obowiązek i że nie trzeba im go utrudniać. Do portretów pozował niechętnie, niecierpliwiło Go to; zdziwiła się też Marszałkowa niepomnie, gdy pewnego razu zapowiedział, że da się portretować I. Witkiewiczowi. Co było tego wyróżnienia przyczyną? Oto, wpadł Mu w rękę regulamin, rozsyłany przez Witkiewicza tym, którzy chcieli się u niego malować. Regulamin był ostry, dobitnie nakładający na model obowiązek milczenia, nie gadania, nie pytania, nie kichania, nie ruszania się itd. Tak to ubawiło Marszałka, że postanowił pozować Witkiewiczowi. Wszystko, co było oryginalne i odbiegające od szablonu, pociągało Jego tak poglobiony, a równocześnie tak błyskotliwy umysł...

\* \* \*

Dzięki Witkiewiczowi, przeżyłam raz niemiłą chwilę. Będąc po bardzo ciężkiej chorobie na rekonwalescencji w klinice, czytałam jego przeciekawe *Nienasylenie*. Jest tam scena koszmarna, w której bohate-







ra, modelowanego zbyt wyraźnie na Marszałka, sądzi jakiś doraźny sąd wojenny, złożony z chińskich oficerów. Dlaczego tak się spodobało Witkiewiczowi? nie wiadomo, ale taką namalował scenę w swojej powieści. W jakiś czas potem wypuszczono mnie po 8 miesiącach z kliniki i udałam się na przyjęcie do Belwederu. Mijałam radośnie dawno niewidziane podwórze, drzwi wejściowe, pierwszy salonik przy adiutanturze i nagle — stanęłam jak wryta. Głowa, szwankująca jeszcze po chorobie, zakołowała mi się z przerażenia: pośrodku salonu stał Marszałek, lekko pochylony, niebieski i pastelowy, a wokół Niego ciasnym wieńcem ...garstka chińskich, skośnookich oficerów. Jakaś delegacja czy jacyś goście ze Wschodu — nie wiem, ale wrażenia tego nigdy Witkiewiczowi nie zapomnę, co zresztą oświadczyłam mu latem na imieninach Wandy w Sulejówku...

Marszałek dokuczał wtedy Witkiewiczowi żartobliwie, że podszywa się pod bliskie z Nim pokrewieństwo.

— Jakaś tam moja kuzynka — mówił — była jego, Witkiewicza, ciotką. Ale wnoszę, że kuzynka ta nie była bardzo bliska, bo nie pozwalali mi jej w domu całować. Tylko bardzo bliskie kuzynki się całowało...

Ktoś bąknął:

— Oczywiście, o ile pan Marszałek ma na myśli jawność...

Marszałek spojrział w stronę mówiącego, uśmiechnął się, ale nie podniósł kwestii.

\* \* \*

Miejsca wypoczynkowe Marszałka były związane z szeregiem tzw. niespodzianek. Siurpryzy te przy-





*Sulejówek. Pies który wiernie od lat strażuje nad siedziwą Marszałka.*

gotowywał w najgłębszej zawsze tajemnicy dla żony i dzieci. W pierwszym roku w Pikiliszkach zakomenderował łódkę, aby móc uczyć dziewczynki wiosłować, a Marszałkową wozić po jeziorze. Prosił tylko, aby była tego kształtu, co łódzie na Sybirze. Związek tedy Sybiraków w Wilnie dał rysunek długiej, wąskiej łódki, z wiosłem kajakowym. Radość była niewypowiedziana i nie wiadomo, czyja była większa: dzieci, czy Marszałka, który z miejsca zabrał się do uczenia córek wiosłowania.

Następnego roku przyszła w Pikiliszkach nowa niespodzianka: dwie altanki w sekrecie przed Marszałkową miano wybudować. Dając dyspozycje, Marszałek przykazywał, żeby, na miły Bóg, nie naruszono niczego i trzymano się miejsc przez Niego oznaczonych. Bratanica Marszałka, pani dr Wanda z Piłsudskich Pawłowska, której zameldowano rozpoczęcie robót, pojechała obejrzeć i przyspieszyć pracę, jako że przyjazd Gospodarzy się zbliżał i ku swemu przerażeniu skonstatowała, że pomyłono dyspozycje,







wyrzucono z cypla nad jeziorem ukochaną Marszałką ławeczkę i ułożono betonowy fundament pod altankę. Rozpacz! Trzeba było więc na gwałt beton zakryć chytrze darnią, a altankę przenieść tam, gdzie ją Marszałek chciał mieć. I znowu było radości co nie-miara!

Potem przyszła kolej na przystań, gdzie osobiście uczył panienki kunsztu pływackiego. Najpierw na dywanie, w pokoju, kazał im wykonywać przepisowe ruchy, następnie długie i żmudne próby i ćwiczenia na wodzie, a w końcu odbył się uroczysty pokaz pływacki, w obliczu jury — zresztą niezwykle łaskawego — składającego się z pani Marszałkowej, śp. Zofii Kadenacowej i innych kuzynek. W roku śmierci Marszałka, była już, w zмовie z mjr Pacholskim, zadysponowana motorówka, szczyt marzeń!

Do tajemnic tych byli dopuszczani, oprócz mjr Pacholskiego, płk. Wendy i innych adiutantów — siostrzenice wileńskie.

Tam też w Pikiliszkach założył Marszałek żartobliwe „Towarzystwo Rzeczy Przyjemnych a Niekoniecznie Pożytecznych“, do którego należał tylko On i dwie Jego córeczki. Siostrzenice otrzymały przyrzeczenie, że zostaną przyjęte w poczet członków, ale dopiero po rocznej próbie, która się zasadzała na rzetelnym wysługiwaniu się interesom Towarzystwa.

## WRONIE PIÓRO

Zebrania Towarzystwa odbywały się na cypelku, do którego dopływało się łódką. Moc gnieździło się tam wron i moc wronich piór leżało zawsze na murawie, toteż pióra te zostały przyjęte jako godło Towarzy-







stwa. Jeżeli któryś z członków zapomniał przypiąć sobie magiczną odznakę, nie był wpuszczany na łódkę pod żadnym pozorem i musiał drałować piechotą dookoła jeziora. Toteż pilnowano wronich piór jak najdroższego skarbu — komuż się bo chciało zasłużyć na podobny despekt, jak odmowa łodzi i podróż *per pedes* całymi kilometrami?!

Na zebraniach Towarzystwa uchwalano między innymi nazwy dla łodzi i dla poszczególnych części domeny pikiliskiej. Łódź sybirską nazwano, Bóg raczy wiedzieć dlaczego, *F o n t a n a*. Jeden z przyładek został ochrzczony mianem „*p r z y ł ą d k a G ł u p c ó w*“, a to drogą dość skomplikowanego rozumowania. Oto właśnie Wanda, w IV klasie będąc, uczyła się o starożytnej Grecji i zapamiętała przysłowie: „*N a d z i e j a j e s t m a t k ą g ł u p i c h*“, więc uradziło, że skoro są *p r z y ł ą d k i d o b r e j n a d z i e i*, a nadzieja jest matką głupców, więc najprostsze nazwać dany cypel „*p r z y ł ą d k i e m G ł u p c ó w*“, co się równać będzie nazwie utartej. Pewien inny punkt nad jeziorem został nazwany „*D a r d a n e l a m i*“, bo zwiężało się tu jezioro na modłę słynnej cieśniny tureckiej i w dodatku tu właśnie opowiadał Ojciec córkom o bitwie dardanelskiej.

Każdy skrawek ziemi miał w Pikiliszkach swoją historię, nazwę i przywileje. I do wszystkiego odnosił się ten największy w przekroju dziejów człowiek z pogodą omal że dziecinną, napęlniając zakątek rodzinny pomysłami, które wzbudzały kaskady nieprzerwanego śmiechu i radości.





**JEDNODNIOWY ADIUTANT**  
**„Z GAŻĄ“**





ogóle nie było końca radości i pomysłów Marszałka. Wanda i kuzynka jej, panna Zofia Majewska, wróciły z obozu przysposobienia wojskowego. Ujrzawszy siostrzenicę w mundurze, Marszałek oświadczył jej z całą powagą, że mianuje ją Swoim adiutantem na jeden dzień, z pełną gażą, wszystkimi przywilejami i obowiązkami.

Bardzo się to panience podobało, ale kiedy się dowiedziała, że musi się panom oficerom meldować, strach ją obleciał i — z zaszczytu zrezygnowała.





**D Z I K I E   K A C Z U S I E  
W C Z E R W O N Y C H   K R Y Z A C H**









ulubionej altance nad jeziorem, siadywał Marszałek godzinami i śledził bacznie obyczaje dzikich kaczek, a wróciwszy do domu, przy obiedzie opowiadał

córkom z niesłychanym przejęciem, co spostrzegł i co zaobserwował. Widział, jak stara kaczka wypłynęła na środek jeziora i z tej odległości wołała swoje dzieci, by podплыnęły do niej. Chciała je nauczyć pływać. Ale młode kaczusie podszyte były tchórzem. Ani rusz zdecydować się na tak bohaterski czyn, jak ruszenie w odmęty oceanu, największego chyba z egzystujących na świecie. (Cóż wobec podobnej imprezy znaczą Vasco de Gama, czy inny Krzysztof Kolumb?)

Znalazł się jednak w końcu jeden czupurniejszy kaczonek, który z duszą na ramieniu, ale z miną butną, wziął kierunek na środek jeziora. Jeżeli tak rzecz można, był blady z przerażenia jak trup, jednak nie cofnął się już i dopłynął do głośno objawiającej swój zachwyt matki. Wtedy i reszta kaczuś ruszyła i radość zapanowała niewysłowiona na jeziorze w całej kaczkiej rodzinie.

Pan Marszałek cieszył się z nimi, toteż zdecydował z córkami pewnego dnia, że trzeba koniecznie poznać jakoś kaczki, aby, po pierwsze, wiadomo było, gdy powrócą na wiosnę, że to te same, które się tu w szuwarach wylęgły, a po drugie, aby obce narody w onych ciepłych krajach, gdzie polskie ptactwo zimuje, dowiedziały się, że to kaczki szczególne, inne od wszystkich, słowem — pikiliskie kaczki!

Więc, po długich naradach z Marszałkową i dziewczynkami, postanowiono założyć kaczusiom kryzy czerwone, jako że kolor czerwony z daleka widoczny, a kryzy nie zawadzające zbyt i wielce twarzowe.







Uszyła tedy Marszałkowa wspaniałe kryzy, jak dla hiszpańskich infantów, specjalista pastuszek obiecał złapać na próbę dwie kaczusie, już wypierzone, ale jeszcze nie latające i — stało się. Jedna kaczusia dostała kryzę. Drugiej nie pozwolił Marszałek od razu kryzy założyć, bo trzeba było najpierw wypróbować, czy żółta zazdrość, względnie pycha, nie będzie tu działać i czy kaczusia bez kryzy nie rzuci się na kaczusię z kryzą lub na odwrót. Zamknięto je więc razem i próba wypadła nader dodatnio. Kaczusie, okazało się, miały charakter szlachetny, jedna drugiej nie podziobała. Wtedy druga kaczusia otrzymała kryzę i wśród ogólnego napięcia nerwów i wzruszenia, Marszałek wypuścił obie kaczusie na taflę jeziora. Popłynęły dumnie, potrząsając puszystymi kuperkami, nie wzbudzając żadnej sensacji wśród towarzyszek.

Nagle, idylla zaczęła się psuć. Pierwsza kaczusia dostrzegła pod słońce kryzę na drugiej — skubnęła raz, skubnęła drugi, trzeci i dziesiąty; poszkodowana nie pozostała dłużna i za chwilę tylko czerwone strzępki kryzy fruwały w powietrzu i na jeziorze, podczas gdy z okna patrzył Marszałek z żoną i dziećmi, do głębi zasmucony.

\*

\*

\*

Jakżeby On, Syn ziemi tak zasłanej jeziorami jak Litwa, nie kochał tego okna na niebo, pełnego tajemniczego szumu, plusków i drzeń? Patrzył na swoje dzikie kaczkę, patrzył jak jaskółki maczają brzuszki, nad samą taflą wód chwytając żer. Patrzył jak się gniewało jezioro na nadchodzącą burzę i otrząsało z deszczu i jak się pokornie słało, zahipnotyzowane, do nóg miesiąca.





*Marszałek w parku druskienickim.*





*Pikiliszki. Sypialny Marszałka (skrzynia chłopska przy łóżku — na szafie wypchane praszki).*



Nigdzie nie był Marszałek tak wesół, niefrasobliwy, jak tutaj, w gronie kochanej rodziny i w ciszy „w s i o - w e j”. Zdziwił się raz, badając Go prof. dr Januszkiewicz, jak świetnie zrobiły Mu Pikiliszki i zdecydował, że niepotrzebne zgoła kąpiele w Druskienikach — bo gdzież wyniki lepsze, niż tu, po kilku tygodniach wypoczynku?

Co prawda na zupełny wypoczynek rzadko Sobie kiedy Marszałek pozwalał i w Pikiliszkach też studia przeprowadzał nad fachową literaturą militarną francuską, niemiecką i angielską. — Sam zresztą jeden z najwybitniejszych fachowców w tej dziedzinie...





**LITERATURA I UŁOMNOŚĆ**







**A** z literatury pięknej?

Naturalnie i przede wszystkim Słowacki, specjalnie *Beniowski*. Całego *Beniowskiego* umiał Marszałek na pamięć. Z *Trylogią* Sienkiewicza rzadko kiedy się rozstawał i często ją czytał od deski do deski. Wracał też do *Popiołów* Żeromskiego, miał zawsze pod ręką *Myśli i Listy* Napoleona, czytał *Jima Conrada*, w tłumaczeniu Anieli Zagórskiej — słowem mało beletrystyki, a tylko studia i studia nad rokiem 63-im i nad wojskowością w ogóle.

Przypominam sobie słowa Wacława Sieroszewskiego, który mi opowiadał, że raz na froncie legionowym, na szancach, gwałtownie ostrzeliwanych z ciężkich dział, oficerowie starali się usunąć Marszałka. On stał jednak w huku pękających pocisków i najspokojniej czytał. W pewnej chwili, pocisk wyrznął tak blisko, że zasypał książkę piachem i gliną. Marszałek odwrócił książkę grzbietem do góry i strzepał piach.

— Co czytacie, Komendancie, z takim zajęciem? — zapytał Sieroszewski.

— A no popatrzcie — odrzekł Marszałek i pokazał tytuł: *POTOP*.

Żeromskiego nazywał płaksą. Myślę, że oparł to przeświadczenie nie o dzieła wielkiego pisarza, tylko o fakt, że Żeromski, który stał swego czasu na czele wszystkich poczynań niepodległościowych, strzeleckich, nagle, gdy ci strzelcy ruszyli do boju, zmienił orientację i to wyłącznie i jedynie pod wpływem konającego chłopczyzny swego Adasia.

Marszałek ubóstwiał Swoje dzieci, ani chwili jednak nie wątpimy, że nic z ich strony nie zdołałoby naruszyć Jego wytycznej — największa tragedia, najstraszliwszy wstrząs w uczuciach rodzicielskich! Dla-



tego nazywał Żeromskiego płaksą. Nie pojmował, jak mogło cośkolwiek naruszyć wskazania tak wielkie i ważne, nie pojmował, choć rozumiał, jak mało kto na świecie, czym jest miłość ojcowska. Dlatego może odstępstwo Żeromskiemu darował, ale uważał go za słabego duchowo człowieka. Mimo wszystko, wiedział, że to odstępstwo musiało być dla nas ciosem swego czasu dojmującym. I istotnie.

Kiedy wiosną 1913 roku oddałam Bajowi Jędrzejowskiemu, stojącemu na czele ówczesnej kooperatywy autorskiej w Krakowie „Książka” (nawiasem mówiąc, zasilanej partyjnymi pieniędzmi z rąk Józefa Piłsudskiego) skrypt moich *Kryjaków* (opowieść o roku 63-im), traktowanych jako dziełko poniekąd agitacyjne, wznawiające celowo stare hasła niepodległościowe i „młodzieży niepodległościowej” dedykowane, a więc wymagające jak najszerszego rozpowszechnienia. Cóż mogło wtedy książkę bardziej pomóc na rynku księgarskim, jak przedmowa wielkiego pisarza? A któż był wtedy większy od Żeromskiego? Baj Jędrzejowski zatem posłał skrypt mój Żeromskiemu z prośbą o przeczytanie i słowo wstępne. Nie wątpiliśmy ani chwili oboje, że Żeromski prośbie nie odmówi, wiedząc, jaki był cel książki. Toteż bez zdziwienia, choć ze szczerą radością, odczytałem list Żeromskiego z dnia 16 kwietnia 1913 r. tej treści:

— „...przesyłam jednocześnie próbę przedmowy do *Kryjaków*, z prośbą, aby Szan. Autorka była łaskawa ją przeczytać i jeśli się nie nadaje, albo jest nieodpowiednia, zupełnie odrzucić. Nie będę miał o to ani cienia żalu. Jeśliby jednak moja przedmowa miała być umieszczona, to uprzejmie proszę o usunięcie z *Kryjaków* cytaty z Micińskiego. Nie dlatego wcale, że bym miał cokolwiek przeciw temu pisarzowi, lecz dlatego, że



ta cytata zupełnie nie nadaje się, według mnie, do Kryjaków. Miciński zajął wobec ruchu strzeleckiego pozycję raczej nie-przyjazną, więc dedykacja dla młodzieży niepodległościowej, moja przedmowa i cytaty z Micińskiego, to już za dużo jakichś podpór dla dzieła, które samo jest podporą...

Tak pisał Żeromski w przededniu wielkiej wojny — do tego stopnia był czuły na wszystko, co muskało choćby najlżejszym sprzeciwem zagadnienie święte i nietykalne. Gorzał wielkim ogniem dla celów Piłsudskiego, z ostracyzmem niebywałym odnosił się do przeciwników idei Czynu — irytował go, jak widzimy, najdrobniejszy cytat, podpisany nazwiskiem pisarza, który nie był entuzjastą ruchu strzeleckiego. Był bezkompromisowy wtenczas — list powyżej zamieszczony ukazuje, jak bardzo bezkompromisowy!

Później, jak wiadomo, tajemniczy, destrukcyjny wpływ konającego jedynaka, chłopaczka wychowanego w Paryżu, w Lycée Montaigne, a więc rozplamionego chorobliwym entuzjazmem dla tzw. Entente'y, bolejącego nad wszystkim, co opóźniało zwycięstwo ukochanych Francuzów, bez wchodzenia w skomplikowane, tragiczne położenie własnej Ojczyzny — odsunął Stefana Żeromskiego od naszego ruchu strzeleckiego, któremu duchowo przewodził tak długo, wraz z wiernym do końca, Witkiewiczem.

Kiedy spotkałam tego wielkiego pisarza w Zakopanem, jesienią 1915 r., internowana właśnie przez Austriaków po wyrwaniu się spod inwazji rosyjskiej, nie wiedząca o dramatach — spojrzały na mnie jego oczy, jakby z zaświatów, jakby nagle skierowane gdzieś ze sfer wiecznych, ku zapomnianemu padłowi płaczu, ale usta miały wyraz zażenowania, wahania i niechęci. O krok od nas — prawie za ścianą — do-



gasnął już młody Adaś, nieświadomy, iż zagasił sam przedtem wspaniały i niebosiężny płomień ojcowy.

Trudno mieć żal do kilkunastoletniego, schorowanego chłopaczka, trudno rzucać kamieniem w rozpacz tragiczną, w rozpacz niweczącą ojca — dobrze jest natomiast wiedzieć i czuć, że wszystko, co było wielkie, czyste, natchnione i genialne w narodzie, normalnie stało zawsze po naszej stronie, wierne i mocno. Żeromski - pisarz był z nami, odszedł tylko Żeromski - ojciec, całunem młodziutkiego syna odgradzając się od spraw dręcząco dlań niezłomnych.

Niejedne się też rozgrywały dysputy wśród młodych chłopców, którzy ongiś w b. Galicji, w mojej bibliotece, na książkach tegoż Żeromskiego, uczyli się niepodległości, zanim poszli do Legionów.

— Co chcecie? — oponowali jedni na atak drugich. — Żeromski był naszym natchnieniem, z niego wyrosliśmy wszyscy, po co wglądać w jego złamane życie!? I tak idzie z nami, czy chce czy nie chce. W niejednym naszym tornistrze strzeleckim leży *Uroda życia* i *Duma o hetmanie*. To wystarczy, prawda? Niejeden z kolegów ułożył się do wiecznego snu na polu bitwy, wsparłszy głowę o potargane Popioły czy Wierną rzekę. O to chodzi! Żyje z nami i umiera Żeromski, czy chce czy nie chce. Człowiek mija, książka zostaje...

Piłsudski to wiedział — ale, powtarzam, nazywał płaksą człowieka, który się dał rozpaczyci ojcowskiej złamać.

\*

\*

\*



**E D U K A C J A C Ó R E K**





Wanda i Jagódka  
Piłsudskie. (Fotogr.  
A. Prystora).

**K**iedy Wanda i Jagoda były małe, opowiadał im Marszałek bajeczki własnego układu, tak jak przed latami opowiadał Mu je Jego ojciec. I tak samo jak Jego Ojciec, w najciekawszym miejscu przerywał i powiadał do ginących z ciekawości maleństw: *d a l s z y c i ą g j u t r o*. Największym powodzeniem cieszył się wtedy „*Mieczyk z odkręcanymi nóżkami i rączkami*“. Jeszcze w roku 1926 były te bajki układane. Bardzo się interesował pisemkiem „*Koniczynka*“, do którego komitetu redakcyjnego należała Wanda, a które wychodziło sumptem uczennic gimnazjum pp. Szachtmajerówien. Bawiło Go, gdy Wanda, z całą powagą 11-letniego brzdąca, nakazywała Jagodzie, aby jej „*n i e p r z e s z k a d z a ł a*“, bowiem pisze wstępny artykuł polityczny dla „*Koniczynki*“. Zresztą niejedno Go bawiło w tym pisemku, które oczywiście nie we wszystkich egzemplarzach dochodziło do Jego rąk. Bywały w nim istotnie rzeczy do-



wcześnie i doskonale aktualne. Na przykład numer poświęcony Challenge'owi.

„W kancelarii (pisze „Koniczynka“) projektowano dać nam niżej wyliczone tematy na lekcje. Z przyczyn dotychczas niewyjaśnionych, plany te nie zostały zrealizowane, w każdym razie nie z powodu braku zgody z naszej strony. A więc:

#### HISTORIA

Co by zrobił Napoleon, gdyby był Bajanem?

#### POLSKI

Bajan jako taki, a jeśli nie jako taki, to jaki? i dlaczego?  
Skarżyński w literaturze murzyńskiej.

#### ŁACINA

Magna Charta samolotatis Bajanus fruwanus Erwudus et  
zwyciężanus.

#### MATEMATYKA

Postępy i ciągi, a pociąg do Bajana i Pokrzywki względem —  
nieskończoności.

#### FIZYKA

Bajan jako ciało najbardziej lotne.

Na sześć lat przedtem, w klasie 1. tegoż gimnazjum znajdowały się w kronice „Koniczynki“, notatki innej doniosłości, które może najwięcej podobały się Marszałkowi:

„Dzisiaj w szkole zrobiło się Wandzi Piłsudskiej nieszczęście, bo zrobiła kleks w zeszycie...”

*Halina Kwiatkowska.*

Cieszył się Marszałek z rozwoju umysłu swych dziewczynek, choć często trzymał z nimi żartobliwie „sztafę“ przeciw matce i wykręcał je od przykrych ćwiczeń i niewątpliwej katastrofy w szkole. Raz Wanda miała klasówkę i nie przygotowała się do niej jak potrzeba, wtajemniczając w tę okoliczność





*Marszałek z rodziną w Druszenikach.*

Ojca. Wtedy zmówili się oboje i Marszałek długo tłumaczył żonie, że zimno na dworze, że Wanda mizerna, że powinna się położyć, a potem cieszyli się oboje, że „matkę nabrał”...

Ale tyle tylko pomocy miały dziewczynki u Ojca, bo w cudownym tym domu nie wymagano nigdy wyróżnień dla dzieci — wprost przeciwnie! Bardzo źle były widziane wszelkie próby tego rodzaju w szkole, czy gdziekolwiek.

\*

\*

\*

W pewnym towarzystwie, wybitnie endeckim, łamano raz ręce w mojej obecności nad straszliwie niepedagogicznym „przewracaniem w głowie” takim dzieciom, jak Wanda i Jagoda, z okazji tej, że miały trzymać do chrztu dwa stateczki w Gdyni. Byłam ciekawa, jak w istocie zareagują te dwie dziewczynki na owe przewracanie w głowie. Ledwo więc wróciły, pytam Jagody:



— No i jakże tam było w Gdyni?

— Ach, proszę pani! Mowy i mowy... Trochę nudne. Ale żeby pani wiedziała, jakie lody nam stryjcio Kazimierz zafundował!! Co za lody w tej Gdyni...

\*       \*       \*

Tak plotkowali ludzie, a tymczasem te misteria belwederskie w dziedzinie edukacji dzieci jakże były inne, proste, zadziwiające, rzetelne, omal nie chorobliwie czułe, jako się rzekło, na próby wyróżnień czy protekcji i zawsze bezpośrednie — bez bon i nianiek.

Kiedy małe dziewczynki mówiły o wolności, o Polsce, to nigdy nie wymieniały Imienia swego Ojca. Dla nich to Imię było talizmanem, najgłębiej w duszy zapewne noszonym — światu nie pozwalały się wdziierać do sanktuariów swoich dziecięcych serc, choć doskonale wiedziały, co zawdzięczają temu Ojcu, jako dzieci i jako Polki. Specjalnie wzruszające było, kiedy drobne usteczka Wandy Piłsudskiej w r. 1928 recytowały na uroczystość Dziesięciolecia Odrodzenia wiersz Modrzejewskiego:

Chcecie, by dziecko małe,  
ot dajmy na to, ja,  
w wierszu głosiło chwałę  
wiekopomnego dnia?  
Chcecie, by w mojej piersi  
ubiegły odżył czas?  
wybaczcie mi najszczerzi!  
ja nie rozumiem was...

Jam wolną się zrodziła,  
niewoli nie znam mąk,  
nigdy mi wraża siła  
nie skula drobnych rąk,



nie wypaliła piętna  
obca, nikczemna moc.  
Nie będzie mi pamiętna  
niewoli ciemna noc...

Ja nie znam tej goryczy,  
którą pojono was,  
zapłonął płomień zniczy  
na mych narodzin czas...

Marszałek, będąc Sam kiedyś dzieckiem wyjątkowym, stosujący już wtedy swoistą pedagogię do swoich młodszych braci: kanony bohaterstwa i odwagi, rzetelnego do siebie i świata stosunku — stosował też tę pedagogię i do Swoich córeczek, choć wychowanie ich zdał z głęboką ufnością w najniezawodniejsze ręce Swej małżonki. O ile tzw. cudowne dzieci zawodziły nieraz w przyszłości, zatrzymane jakąś tajemną siłą w swoim rozhukanym rozwoju (jak mrówki czy termity), tak genialni ludzie nie zawodzą nigdy w próbie zestawienia z własnym dziecięctwem. Odnajduje się zawsze ich twarz mądrą i surową, ich świetną manierę dedukcyjną, ich prezencję rycerską czy badawczą — w wątlej twarzyczce i w postaci dziecka. Z Marszałkiem przede wszystkim miała się tak, a nie inaczej owa sprawa.

Jak wielu Jego rówieśników, wycinał małym chłopcem podobizny bohaterów, wyszukiwane w starym wydaniu Szekspira i w dziejach Napoleona. Wtedy każdy chłopiec kochał się w bohaterach, tak jak dziś kocha się w silnikach i radioaparatach. Więc Józef Piłsudski nie odbiegał zwyczajami od innych chłopców, żmudnie kalkując na szybie znakomite, uwielbiane postacie, naklejając je na karton i z braćmi: Adamem, Janem, Bronisławem i Kazimierzem, ho-

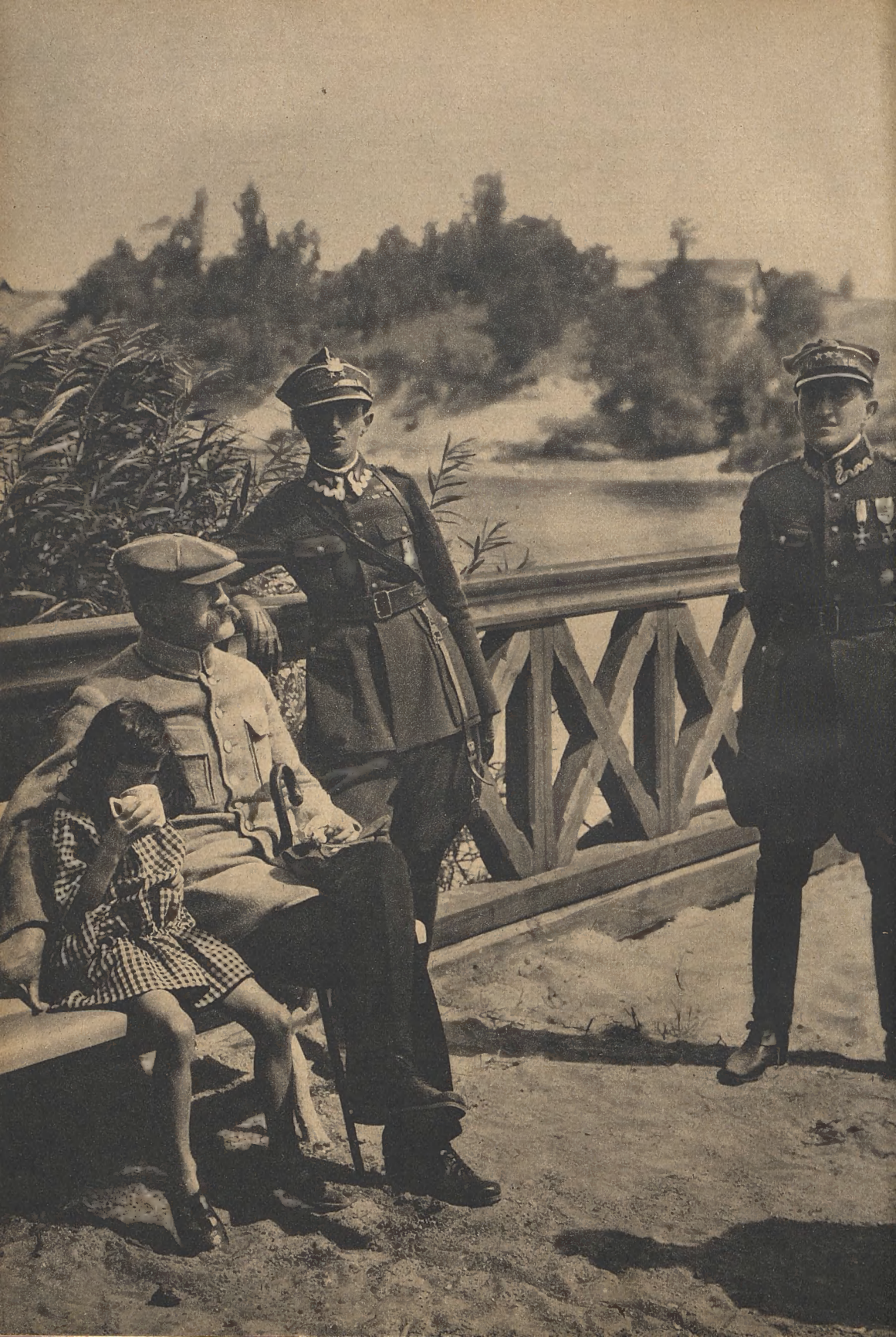


meryckie tocząc boje. Nie to było charakterystyczne w Jego grach, bo wojenka była zawsze miłą chłopcom zabawą, charakterystyczna była zasada zainicjowanej walki. Klęskę ponosił ten, którego kartonowi żołnierze najęśniej padli twarzą do stołu, przy czym, oczywiście, grała tu dużą rolę zręczność, ale podstawą wszelkich tych militarnych poczynań było r y z y k a n c t w o. To znamienne dla Piłsudskiego r y z y k a n c t w o, które później małe duszyczki, karły zaplute, zarzucały Twórcy Legionów.

Ćwiczył hart braci i odpowiedzialność osobistą. Dawał zadania trudne i przechodzące nieraz siły, ledwo od ziemi odrosłych uczniów. Kiedy wszystko spało w żułowskim dworze: rodzice, służba, a zwłaszcza panna Cecylia Bukont, wychowawczyni, Ziuk kazał braciom wstawać z ciepłych łóżeczek i po ciemku, wśród największych niebezpieczeństw, kryjących się w czeluściach nocy, w trzeszczącym dworze drewnianym, z możliwością obudzenia starszych oraz zgubienia kierunku — kazał im iść wzdłuż ciemnych pokojów, otwierać bez szelestu drzwi i dotrzeć do sypialni p. Bukont. Tu należało z największą ostrożnością podejść do jej stolika nocnego i jak skalp nieprzyjaciela porwać i przynieść komendzie klucze. Tą samą straszliwą drogą!

Komenda, tzn. Ziuk, czekała, podłogi trzeszczały złowieszczo, meble, jak na złość, barykadowały drogę bosym nóżkom rekonesansu, szmer ostrzegawczy dolatywał od czasu do czasu z sypialni rodziców, westchnęła głośniejsz przez sen p. Bukont, a rekonesans sunął jak cień, wedle rozkazu, niezłomny, aczkolwiek zimnym potem oblany. Dzwoniły ząbki, dygotały łydki, ale mina była butna.







Lecz nie tu był koniec! Z tymi samymi ostrożnościami, w obliczu tych samych niebezpieczeństw, trzeba było odnieść klucze z powrotem.

— *J'aime les choses bien faites...* — mawiał później Wódz Legionów.

W trakcie tych ewolucji, zdarzała się czasem katastrofa, ale nie Ziukowi, bo ten wykonywał zawsze trudne zadanie bez błędu. Niezgrabny zwiadowca zbyt mocno stuknął drzwiami, łupnęła zbyt silnie podłoga, przewróciło się idiotyczne krzesło i wśród ciemnej nocy następował sądny dzień. Nic to, że zbudził się ktoś ze starszych i trzeba było słuchać admonicji niemiłych, ale to, że „n a j w y ż s z a k o m e n d a” okazywała swe niezadowolenie, że w ogóle zawiedziono nadzieje „n a j w y ż s z e j k o m e n d y”. Chodziło przecież o wykazanie hartu, odwagi i zaradności: ładna mi zaradność! To głupie krzesło wywrócone i ta ucieczka po tym na łeb na szyję z placu boju pod koldrę, podczas gdy Ziuk brał na siebie gromy...

Czy nie powtórzyła się identycznie ta metoda później, na froncie, w pedagogii Józefa Piłsudskiego, stosowanej do Jego prawdziwych, już „d o r o s ł y c h” żołnierzy? Przypomnijmy sobie urywek z *Wilna* Kaden-Bandrowskiego. Wre bitwa 16 kwietnia — wszystko zależy od mostu, który nie może stanąć, bo nie ma saperów i nie ma czasu:

„Piłsudski stoi nieruchomo na wiązaniach mostu. W szarym płaszczu wojskowym, siwiejący, o twarzy szarej i matowej, wygląda jak posąg ulany ze spiżu. Wreszcie zaczyna mówić krótkimi, urywanymi zdaniami, zupełnie jak gdyby nie słyszał tego, co mu meldował przed chwilą oficer saperów.”

— Już późno. Most musi być dziś wieczór gotów. Inaczej nie zdążą tabory...

Odjeżdżamy, oficer saperów zostaje na moście sam wobec







porwanych przesłał i dziur. ŻADEN Z NAS NIE MA JUŻ TERAZ NAJMNIEJSZEJ WĄTPLIWOŚCI, ŻE TEN MOST STANIE“...

To była ta sama metoda sugestywna i potężna, którą mały Ziuk stosował już do swoich braci, wycinanymi potem z książek podobiznami krzyża „virtuti militari“ ozdabiając pierś najwaleczniejszego rzykanta. Nie nagroda, ale n a z n a c z e n i e. (Wtedy już, w mrokach dzieciństwa, wznawiał tę odznakę rycerską).

Jakże miał tych metod nie stosować do swoich córeczek kochanych — świetny znawca dusz dziecięcych? Ile razy w zetknięciu osobistym, na przyjęciach w Sulejówku i Belwederze, mówił nam o tych dzieciach, trafnie charakteryzując ich cechy, bardzo odmienne: Wanda — to władczy, organizacyjny talent; rzuca plany znakomicie, ale do czarnej roboty, do roli wykonawczej, drobiazgowo dokładnej, obowiązkowej — to Jagoda. Systematyczna, nie tak jak On, z „siły woli“, tylko z natury. Na imieninach Wandy w 1931 r. w Sulejówku, jakże zajmująco i dowcipnie cytował nam tekst ustawy, spisanej przez nią dla „K o m i t e t u 11 D z i e w c z y n e k“, które miały się samodzielnie zająć wychowaniem jednej sierotki. Wszystkie pieniądze, otrzymywane od rodziców na przyjemności i słodycze, musiały iść do tej kasy, a groźne paragrafy ustawy brzmiały:

§ 1. Rodzice dziewczynek mogą się mieszać do tychże, ale nie mogą się mieszać do dziecka.

§ 2. Mogą się mieszać do ubierania i wyżywiania dziewczynek, ale nie mogą się mieszać do ubierania i wyżywienia dziecka itd.

Telefony rozdzwaniały między członkiniami Komitetu, a wszelkie starcia rozstrzygał bezsporny auto-

*Zabawy dzieci Marszałka.  
Wanda Piłsudska jako Albin,  
panna Ewa Twardówna jako Klara w sztuce  
Fredry.*







rytet Wandy. Nieraz, przyszedłszy do Belwederu, musiałam wysłuchiwać utyskiwań panienek, że tak drogie są gotowe płaszczyki dla 3-letniego dziecka, że przerobiły stary płaszcz dla Marteczki, ale muszą przecież mieć także dla niej lepszy, nowy, bo pani rozumie, co innego w Sulejówku, na wsi, a co innego w Warszawie.

Rozumiałam i podziwiałam, jak uspołecznione były już wtedy te małe dziewczynki — karne wobec rodziców, a niczym nie krępowane w tych zakresach, w których rozwinać mogły utajone, dziedziczne cechy charakteru i upodobań. Chciałabym znaleźć choć jedno dziecko na całym świecie, które, wychowane w atmosferze patosu, sławy, niepowszedniości, wyłączności, spotykające się nieraz poza domem z głupim pochlebstwem, ciągnięte zresztą samą siłą faktów do wynoszenia się ponad szary tłum — nie uległo by zdezorientowaniu! Chciałabym znaleźć choć jedno dziecko w podobnych warunkach, które by nie poddało się, przynajmniej czasowo, omamieniu i nie wykazało nachyleń ku pysze i kadzidlomanii! Jak potężny jednak był ów wpływ pedagogiczny rodziców, kiedy te dwie małe panienki, Wanda i Jagoda, pozostały pełne prostoty, uciekające od chwały i fotografów, w głębokim poczuciu pomiarów i rozdziałów duchowych, między nimi, a najdroższym wielkim Ojcem.

Niemniej stosunek ich do Niego był dziecięcy i pełen naturalności. Kiedy ten Ojciec wyjeżdżał, pisywał do nich listy z „u t r u d n i e n i a m i“ — to jest rozsypywał zdania po całym arkuszu, na skos, na wprost, do góry nogami i dopiero po bardzo mozol-

*Biurko Marszałka  
w Jego gabinecie  
w Sulejówku z por-  
tretem córeczek na  
ścianie.*



Bukareszt, 1 września 1938 r.

PROTOKÓŁ Z ODSYTCO DOŚWIADZENIA.

Niniejszym podaję urzędowo do wiadomości wszystkich d. l. polaków, iż w dniu 27 sierpnia 1938 r. niżej podpisany, przejeżdżał w rumuńskim porcie Konstanca, na rumuń. w łodzi niżej nadzorem Pierwszego Marszałka Polaki, Józefa PIASUDY 1896, następujące doświadczenie, mające na celu zbadać, czy stanęła się z niebieską wstążką, pogrążona w Morzu Czarnym.

Zauważono przy niniejszym wstążką niebieskiego koloru została na przedniej godzinie przywieszona do burty okrętu, którym Pan Marszałek odbywał przejażdżkę po Morzu Czarnym. Wstążka przez cały czas pogrążona była w falach tego morza. Po wydobyciu wstążki z toni morskiej stwierdzono, iż kolor jej znacznie posiemniał, jednak po wysuszeniu powróciła ona do dawnej barwy. Chwilowo powiększenie przypisać więc należy tylko zamoczeniu wstążki.

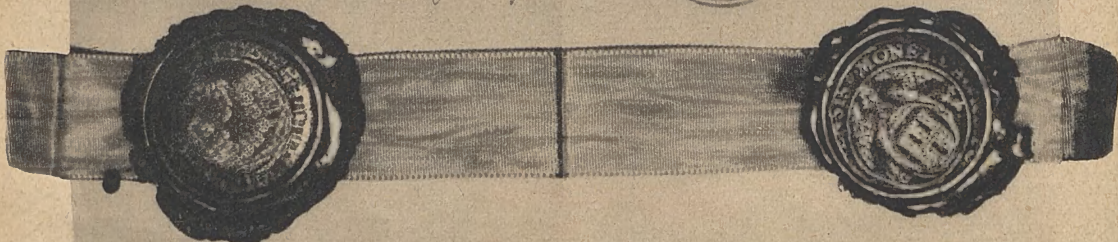
W ten sposób stwierdzono doświadczalnie i bezspornie, że wstążka niebieska pogrążona w Morzu Czarnym pozostała i miała niebieską.

Protokół niniejszy sporządzono w dwóch równoważnych częściach, z których jedna wroczyły został do Urzędu Marszałka Józefa PIASUDY, drugi zaś Marszałkowi i Stefanowi PIASUDY.

*Przedstawiciel polski*  
*Wojciech*



*Vindroguir*  
12110  
1135





nym wycinaniu i zlepianiu, dochodziły do najciekawszej treści.

— Trzeba na radość zasłużyć i zapracować... — mówił Ojciec.

Ciągle niespodziankami przyprawiał im każdą radość. Bawiąc w Druskienikach, zapowiada, że na imieniny Wandy nie będzie mógł przyjechać. Rano w uroczysty dzień nie było Go — pociąg wileński dawno przyszedł — tłumaczą dziewczynkom, że nie ma już mowy o przyjeździe. Wanda już wątpi, ale malutka Jagoda kręci głową:

— Po Tatusiu wszystkiego się można spodziewać...

I istotnie, nagle, okryty kurzem, zajeżdża Marszałek samochodem przed ganek w Sulejówku. Cztery-śta kilkanaście kilometrów jak strzelił...

Trochę Go martwiło, że Wanda „abnegatka“, że za mało przywiązuje wagi do stroju, ani zważa na uczesanie.

Nie zawsze był pełen patosu pedagogicznego Jego przedziwny stosunek do dzieci. Podchodził do nich żartami — wczuwał się w ich dziecinną mentalność, gdy były malutkimi brzdącami, a że w ogóle miał w Sobie nieprzebraną ilość pogody, wesołości i humoru — więc zostawił dużo dokumentów, zdumiewających swoją pomysłowością i dowcipem. Na przykład ów cyrograf z Konstancy! Kiedy wyjeżdżał do Rumunii, w 1928 r., dziesięcioletnia Wanda i ośmioletnia Jagódka błagały Go, aby się przekonał, czy woda w Czarnym Morzu jest naprawdę czarna i czy farbuje przedmioty do niej wrzucone. I dzięki tej dziecinnej ciekawości i naiwności, powstał „a k t“ chyba jedyny w tym rodzaju.



Z Bukaresztu przysłał Marszałek córkom uroczysty protokół, zaopatrzony w pieczęcie, podpisy i w corpus delicti, mianowicie wstążkę zamoczoną w Czarnym Morzu, a brzmiący jak następuje:

Bukareszt, 1 września 1928 r.

#### PROTOKÓŁ Z ODBYTEGO DOŚWIADCZENIA.

Niniejszym podaje urzędowo do wiadomości wszystkich dzieci polskich, iż w dniu 29 sierpnia 1928 r. niżej podpisany przeprowadził w rumuńskim porcie Konstanca, na rozkaz, w obecności i pod nadzorem Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego, następujące doświadczenie, mające na celu zbadanie, co stanie się z niebieską wstążką, pogrążoną w Morzu Czarnym.

Załączona przy niniejszym wstążka niebieskiego koloru została na przeciąg godziny przywiązana do burty okrętu, którym Pan Marszałek odbywał przejażdżkę po Morzu Czarnym. Wstążka przez cały czas pogrążona była w falach tego morza. Po wydobyciu wstążki z toni morskiej stwierdzono, iż kolor jej znacznie pociemniał, jednak po wysuszeniu, powróciła do dawnej barwy. Chwilowe pociemnienie, przypisać więc należy tylko zamoczeniu wstążki.

W ten sposób stwierdzono doświadczalnie i bezspornie, że wstążka niebieska, pogrążona w Morzu Czarnym pozostaje i nadal niebieską.

Protokół niniejszy sporządzono w dwóch równobrzmiących egzemplarzach, z których jeden wręczony został na przechowanie pannom Wandzi i Jagódce Piłsudskim, drugi zaś Panom Wojtkowi i Stefanowi Ludwigom.

*Ludwig mjr S. G.*

*Attaché wojskowy*

Prawdziwość protokołu stwierdza

*Józef Piłsudski.*





# **PASJANSE I ZAKON SAMOTNOŚCI**



**P**asjanse odgrywały dużą rolę w wywczasach Marszałka. Kładła Mu je czasem Marszałkowa, pani Zosia Kadenacowa, ale „specem“ od pasjansów była Jagoda. Powodzenie miała jakaś PIRAMIDKA — po trzy, po trzy — było PRZEŚCIERADŁO, istotnie cały stół okupujące, był WARKOCZ, był inny jakiś, przywieziony przez panią Uziemblinę z Poznańskiego i była ŚMIGLINA, nauczony przez gen. Rydz-Śmigłową. Marszałek uważał pasjanse za odciążenie umysłu, za odpoczynek, ale właściwie pozorną ich bezmyślność tłumaczył bardzo ciekawie i filozoficznie, o czym wspominał niegdyś gen. Wieniawa-Długoszowski:

— Między intuicją, między nadświadomymi zdolnościami człowieka (dowodził Marszałek Wieniawie) a jego świadomym intelektem, istnieje pewne przeciwieństwo, praca świadoma mózgu działa mianowicie hamująco na funkcje intuicyjne. Jest to fakt znany od dawna wszystkim psychologom. Od dawna też ludzie chwytają się różnych sposobów i sztuczek, celem wyzwolenia, celem puszczenia w ruch intuicji. Jedni osiągają pożądany skutek przez kontemplację i przez modlitwę, przez patrzenie w pępek, przesuwanie paciorków różańca i mechaniczne powtarzanie pewnych słów. Wystarcza to nieraz do uśpienia świadomości.

Mój umysł, mój intelekt jest nazbyt żywy, by go takie sposoby mogły zatrzymać w pracy. Aby go więc usunąć od szkodliwej w pewnych chwilach interwencji, zajmuję go pasjansiem i zmuszam do rozwiązywania skomplikowanych nieraz w tej zabawie sytuacji. Podczas tego, swobodnie i bez przeszkody pracuje moja intuicja, kiedy zaś skończy się jej



praca, kiedy dojrzały już we mnie pewne postanowienia, kiedy przychodzi pora do myślenia nad wykonaniem, nad techniką, nad szczegółami — wówczas rzucam karty i powołuję do właściwej dla nich pracy świadome funkcje mojego intelektu. Nieraz zdobywałem się na czyny, przed którymi cofnąłby się niejeden, między innymi i dla tego, że z góry miałem pewność lub prawie pewność powodzenia...

Gen. Wieniawa-Długoszowski, może najlepiej znający Marszałka i tego wielkiego, koturnowego, i tego z legendy i tego z dnia codziennego, zaopatruje te słowa Marszałka w następujący komentarz:

— Istnieją na świecie dwa typy pracowników umysłowych, zwłaszcza wśród literatów i poetów, wyraźnie się różniące: jedni, posługujący się intuicją, pracują chętnie i wydatniej w nocy, drudzy, polegając bardziej na świadomości, wolą pracować w dzień. Józef Piłsudski, kamień węgielny Polski i proporzec, na szczycie Jej gmachu najdosłowniejszą purpurą kwitnący, obdarzony zarówno jednymi jak i drugimi zdolnościami, przez długie lata zmuszony był pracować dniami i nocami, prawie bez wytchnienia. Tak stwierdzał gen. Wieniawa-Długoszowski.

\*       \*       \*

My, maluczcy, z boku stojący, podziwiamy tylko, jak każda funkcja, najniklejsza i najbardziej, zdawałoby się, bezmyślna, przeradza się w rękach niepospolitej jednostki w broń skuteczną, w narzędzie ćwiczenia, w środek dla umysłu, dla sprawności, dla nerwów, dla sił i... dla wyższych celów niezbędny. Marszałek lubił ponad wszystko szachy, lubił grać w winta, lubił w ogóle, od czasu do czasu, rozmowę



z miłym Sobie towarzyszem. I od roku 1926 kolejno zrezygnował z wszystkiego. Przestał grać w szachy, w winta, przestał na gawędy zapraszać miłych Sobie ludzi.

— Dlaczego? pytam raz pani Marszałkowej.

— Aby, z jednej strony, nikogo nie wyróżniać i aby, z drugiej, nie czynić przykrości pominięciem...

Ale były i inne jeszcze tego powody. Śp. Wojciech Stpiczyński, w znakomitym artykule na dzień śmierci Marszałka, określił może najdogłębniej to zjawisko wycofania się Marszałka z widowni publicznej i ten wzmagający się Jego anachoretyzm. Wszystko, dufam sobie, co dała literatura i prasa o Marszałku, miałam w ręku i czytałam, wyznaję jednak, że nic nie zdołało mnie do tego stopnia poruszyć i tak gorzko przekonać, jak ów artykuł. I nie dlatego, że Stpiczyński to mój wieloletni szef. Z kochanym szefem na wielu punktach (religia, „Ukraina“, wolność prasy!) wcale się nie zgadzałam... ale wspomniany artykuł, to dokument naprawdę wyjątkowo subtelnej i dociekliwej, bolesnej intuicji, na którą się zdobyć może tylko człowiek sam zdrowia wątlęgo:

„Zawsze cenił wymianę myśli, lubił skromny żart i mocny rytm życia, a nałożył na siebie zakon samotności w zamkniętej pracowni Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych i cichej sypialni belwederskiej. Nie mogło być wątpliwości, że w życiu przepojonym celowością i to było wyrazem decyzji, owocem rozważań i postanowienia. Był Piłsudski wielkim psychologiem i oto tajemnica Jego samotności. Marszałek, jak nikt inny, oceniał moc więzów, które połączyły nasze pokolenie z Nim, z faktem Jego istnienia. Jak nikt rozumiał, że cała rzeczywistość polska obraca się wokół Jego Osoby i Jego pracy. Jak nikt widział niebezpieczeństwa dla osiągnięć narodu, dokonanych pod Jego kierownictwem, gdy Jego zabraknie. Jak nikt również rozu-



miał, że jest Polsce potrzebny, jeszcze przynajmniej przez lat dziesiątki. Tak oto Wielki Człowiek stanął wobec dramatycznego konfliktu, pomiędzy imperatywem długotrwałej służby Ojczyźnie, a wątpliścią Swego fizycznego zdrowia. Nie może być wątpliwości, że Marszałek rozstrzygał to niepowszednie zagadnienie pozytywnie i że nałożył na siebie ciężar takiego rozstrzygnięcia. I stąd decyzja osamotnienia...”

Abnegacja Piłsudskiego, jakże wyzbyta była wszelkich pierwiastków osobistych, nadziei, wszelkich kuponów, odcinanych na życie przyszłe. Ofiarował Siebie krajowi bez reszty i wiedział, że samotny będzie na wieki. Toteż umiał cenić ten jedyny złocisty promień Swojej beznadziejnej samotności: kółko rodzinne i tu znajdował za wszystkie wyrzeczenia rekompensatę.









**OSTATNIE ZA ŻYCIA IMIENINY**





może chciał nas przyzwyczaić?

Ileż to razy, wchodząc do Belwederu w dniu Imienin Marszałka, odczuwaliśmy żal głęboki i jakby podświadomą urazę, że On nas na ten dzień wesóły od wielu lat opuszcza, że puste są komnaty pałacu i obce ręce przyjmują dary dorosłych i laurki dzieci. W rzeźkim nastroju podpiśywaliśmy się w księdze u wejścia i patrzyli w głąb apartamentów, czy przecież nie zjawi się nagle Solenizant, wbrew wszelkiej możliwości, przygnany naszym żalem z Sulejówka czy Wilna.

Rok rocznie, 19-go marca, od rana siadywałam w pierwszym salonie i z melancholijną dumą patrzyłam na korowody, na te oficjalne, wyfraczone i wyorderowane, i na te nieoficjalne, czerwone z konfuzji i nieporadności. Znali mnie tam wszyscy domowi, więc nikt mnie o nic nie pytał, ani nie kwestionował mojej przydługiej obecności. Co najwyżej pobłażliwie to traktowano, jako nieszkodliwą manię. Czasem, nagle, spotykało się w jakiejś delegacji dawnego znajomego — chłopaczinę, którego się uczyło ongiś „niepodległości“, którego się widziało potem w strzelcach, w Legionach, a który dzisiaj — wysoka szarża w pułku — od tegoż pułku przynosi życzenia. Czasem rozrzewniał starawy wojak, który forsownie „robił k o r d i a l n o ś ć“, który w świeżo z naftaliny wyciągnięty mundur przyoblekł emeryckie ciało i witał się zamaszyscie, *per* „o b y w a t e l u“, dawnym stylem, przesadzając oczywiście w lęku, by się nie okazać... emerytem.

Szły dostojniki, generały, ministry, szły szkoły, szli chłopcy i dziewczynki strojne z całej Polski, szła biedota, szły w pokłonie muezyny, biskupy i rabiny, ceregielu-



jąc się w drzwiach, z szumem i chrzęstem — a wszyscy z nadzieją w oczach, że a nuż? że może? że kto wie?

— Pan Marszałek lubi tak czasem wpaść znienacka... — tłumaczy mi jeden były poseł. — Może i dziś wejdzie na salony. — I wszystko weselało na wewnątrz i na zewnątrz.

\*

\*

\*

Ostatnie Imieniny Marszałka, w 1935 r., tak samo. Siedziałam od rana w pierwszym salonie i chłonełam całą duszą tę falę miłości i czci, która rwała od bram. Ale trochę jakoś było tym razem odmiennie. Nowi jacyś, młodzi, nieznani oficerowie pełnili służbę, nie ci, których się znało od tylu lat, oswojonych z naszymi zwyczajami. Ten i ów podejrzliwie zerkał na mnie, dlaczego siedzę nieruchomo, jak na pokucie, ten i ów pytał grzecznie, czy już się wpisałam, a jeżeli tak, to na jaką delegację czekam? Wyraźnie czytałam w tych młodych, służbistych twarzach:

— Co u licha?!

Wreszcie na chybi trafi, aby coś rzec, na dziesiątą co najmniej z rzędu interpelację:

— Czekam na przyjście pana Marszałka...

Młody oficer uśmiechnął się, dużym wysiłkiem opowijając wyraz lekkiej pogardy. Pomyślał sobie: że też takie „c u ś” jeszcze się dochowało na głębokiej prowincji!!! lecz z wyszukaną uprzejmością tłumaczy, że pana Marszałka nie ma w ogóle w Warszawie.

Może byłby się źle skończył ten dialog? może jednak wylegitymowaniem?! ale akurat weszła generałica. Co drugi generał — dobry znajomy; powitania, rozmówka — sytuacja uratowana. Poszłam za gene-



rałami na dalsze salony i obchodziłam z nagłym, dziwnym jakimś smutkiem, niczym nie umotywowanym, te wszystkie kochane, tak dobrze znane kąty.

Tu, w ostatnie imieniny Jagody, staliśmy we czwórkę — Marszałek, Jego córeczki i ja — dobry kwadrans sami. Mówili, śmiali się, żartowali, a ja, jak zwykle, ze ściśniętym gardłem, nie mogłam się zdobyć na jedno słowo. Nigdy — choć nie znająca uczucia tremy, choć dość ongiś otrzaskana z wielkościami i sławami tego świata — nigdy słowa nie przemówiłam do Marszałka, a na Jego wprost do mnie skierowane zdania, odpowiadałam nieprzytomnym bąkaniem. Dławiła za gardło sama Jego obecność! Tu, w tej framudze, długo rozmawiał Marszałek z Anielą Zagórską, promieniącą szczęściem i wzruszeniem. Tu — pośrodku salonu — przedstawiałam Marszałkowi wdowę po wielkim pisarzu, p. Hannę Żeromską. Tu — w drzwiach stojąc — zasłaniał nam zawsze widok na siedzącego Marszałka jeden z dygnitarzy, tuszy pokaźnej, czyniąc to zresztą rozmyślnie, zdaje się, aby nasz napór na mały salonik powstrzymać. Irytowałyśmy się na niego niepomrotnie, a jedna z najdowcipniejszych pułkownikowych westchnęła raz z komiczną desperacją:

— Nic nam chyba nie pozostaje, jak puścić go przez wyżymaczkę...

Tu — w tym właśnie tylokrotnie bronionym czeczotowym saloniku — siedzieliśmy z Marszałkiem przy stole i On nam opowiadał żywo, barwnie, dowcipnie, o sępach w Europie, bo właśnie przyniesiono Mu jeden okaz, ustrzelony pod Wilnem. Tu pomyliłam się kiedyś o drzwi i odnosząc płaszcze Wandy i Jagody, które im wyniosłam przed taras, gdzie z Ojcem ukazały się jakiejś „pielgrzymce“ z Ameryki, wpadłam



do prywatnego pokoju na Marszałka, powrotu Jego nie zauważywszy i stanęłam jak skamieniała, twarzą w twarz z Nim, a On rzekł uprzejmie:

— Bardzo pani dziękuję za przyniesienie płaszczy dla moich dziewczynek. Istotnie, było zimno...

Tu — wobec samotnie na szaragach wiszącej maciejówki — dumalam długo i podziwiałam własną uczciwość. Nie znikła maciejówka, choć byłam zupełnie sama na całe chyba skrzydło tego pałacu...

\*       \*       \*

Nie wiem, dlaczego cisnęły mi się te wszystkie znikome wspomnienia — tak znikome, tak osobiste — akurat w tym dniu Imienin Marszałka, który miał być dniem ostatnim. Zazwyczaj, mimo Jego nieobecności, dzień ten nastrajał wesoło, nie wspominkowo, dumnie; gromadziła się sprzysiężona nasza „f e r a j n a“, Jemu oddana, wierna i zgrana — wszyscyśmy się prawie znali, witali, pozdrawiali; a tymczasem w ów dzień ostatni nie było wesołości i jakby mało znajomych, choć były pełne salony. Było obco.

Snuły się wspomnienia, dolegały drobne, głuche irytacje i — raptem, ni stąd ni zowąd, pomyślałam sobie: czy też Marszałek, który przecież bierze nieraz udział w przyjęciach w Belwederze i Sulejówku, bardzo licznych i gwarnych i tyle samo męczących, co ewentualne branie osobistego udziału w uroczystościach 19 marca — nie chce po prostu przyzwyczaić nas do Swojej nieobecności? Ten człowiek genialny i jasnowidzący, wszystko czynił wszakże z premedytacją, normalną i wieszczą. Wycofywał się powoli lecz wyraźnie z życia narodu, z dziedzin życia, które najbezpośredniej z Jego Osobą było związane. Może chciał



nas nauczyć, jak odbywać te wszystkie uroczystości, zjazdy, rewie, bez Niego, przez filtr tylko naszych serc przepuszczone. Odzwyczajał nas powoli i rozmyślnie od Swojego uczestnictwa w zjazdach legionowych, na rewiach ukochanego wojska i na debatach Polonii zagranicznej.

Znikał coraz bardziej za czarnym, złowrogim cieniem, który już padał na nasze z Nim bezpośrednie obcowanie.

Nie może być inaczej! On nas już uczy, jak to będzie, jak ma być, gdy Jego nie stanie, a tylko istnieć będzie Jego myśl, Jego wola, Jego Imię wielkie. Trudno się poddać tej lekcji bez protestu i bez łez — ale cóż! W Polsce może się to tylko dziać, czego On chce. Dlatego zapewne i Belweder miał już obce, młode twarze nieznane i dlatego może z wszystkich jego kątów wyszły nam naprzeciw mury wspomnień. Bez wątpienia, akomodowały się woli Marszałka nawet mury, a nawet, jak się okazało, nasze sny...

\*                      \*                      \*

Nigdy nie miewam snów — albo śpiam jak zabita, albo tygodniami cierpię na bezsenność. A oto, z początkiem maja 1935 r., obudziłam się oblana potem i pod wrażeniem snu zatelefonowałam do p. generałowej Góreckiej: że widziałam wyraźnie, nie majakowo, pokoje belwederskie spakowane — meble w chochołach słomianych, lustra i obrazy pozdejmowane i oparte o ściany, a pani Marszałkowa, milcząc, oprowadzała mnie po zdemolowanej siedzibie. Pani generałowa zapytała mnie z kolei, czy aby pan Marszałek nie jest obecnie chory na oczy?

— Nigdy nie słyszałam o tym...

Bo jej się znowu śniło, przejmująco, że Marszałek



wszedł na pełne ludzi pokoje, ręce miał wyciągnięte przed Siebie i mówił:

— Czuję was, ale was już nie widzę...

Pułkownikowa Maleszewska widziała we śnie azalie, jasne, o ciemnych wnętrzach i na ich tle jakiś niepokojący obraz, którego nie mogła dojrzeć, mimo wysiłku. 13 maja 1935 ujrzała w przerażeniu takie same azalie w Belwederze, a na ich tle wspaniały, kamienny profil Marszałka, który skonał przed paru godzinami...

I sny więc przygotowywały nas na samotność, na wiekuiste już po Marszałku sieroctwo — na zaradność i instynkt samozachowawczy własny i na wyciąganie życiodajnych pierwiastków z podanej nam ręką Marszałka nieśmiertelnej pożywki.









**DNI RADOŚCI – FILMY – TEATR**





*Sypialnia Marszał-  
ka w Sulejówku.*

**I**mieniny Marszałka i imieniny Jego najdroższych — były źródłem niewyczerpanych pomysłów i wesołości. Marszałkowa konstruuje w Sulejówku basen, na wzór jeziora w Pikiliszkach, wielkości co prawda głębokiego talerza, ale „za to“ z prawdziwymi nenufarami i odpływającą wodą, sadzi Solenizantowi jabłonkę pamiętkową wśród sosen, przygotowuje wymarzoną poduszkę skórzaną — a On znowuż na imieniny żony, gna w tajemnicy z Sulejówka do Warszawy (np. w roku 1925) i, zmobilizowawszy znajome panie, z p. Miedzińską na czele, chodzi osobiście od sklepu do sklepu, aby wybrać potrzebną koniecznie Marszałkowej podstawkę pod mydło, do wanny przyczepianą, kupuje pantofelki, pończochy i potem Sam to wszystko zawija i pakuje, tak, aby było więcej zabawy i śmiechu, mianowicie, kładzie np. do pudełka po dwa buciki z prawej nogi, po dwie pończochy, z których każda jest innej barwy. Obładowany tymi sprawunkami, wraca do Sulejówka, ciesząc się jak student „c o z a m i n ę b ę d z i e m i a ł a“ Marszałkowa, kiedy paczki



rozpakuje i zobaczy owe nie do pary trzewiki, owe nie do pary pończochy.

Na 12 grudnia, na jednych z ostatnich przez Niego obchodzonych imieninach Marszałkowej, ułożył wierszem powinszowanie; zilustrował tę laurkę i przyozdobił dr Woyczyński, po czym sam Marszałek położył ją na biurku pani Marszałkowej. Tymczasem Wanda, nie zauważywszy nic, narzuciła na nią książki i zeszyty i Marszałkowa nie znalazła laurki, co wielce zasmuciło Autora. Ale rulonik się znalazł i sprawa się wyjaśniła ku ogólnej radości.

Laurka była ręcznie pisana na kancelaryjnym papierze, jaskrawo przez płk Woyczyńskiego ozdobiona polnymi kwiatami. Wiersz kończył się, pamiętam, słowami:

Ja to wiem i rozumiem,  
że kupować nie nie umiem,  
ja nie umiem też malować,  
prawdy w korcu nie chcę chować,  
więc — malował to ktoś inny,  
niechże za to będzie winny...

I tak snuł się wiersz imieninowy na bitych dwóch stronicach. — Wzięłam wówczas z rąk Marszałkowej laurkę i pomyślałam sobie: czy znajdzie się druga kobieta, mająca męża, nieco nawet mniej zajętego wielkimi sprawami wagi państwowej i w ogóle mniej wielkiego, któryby do niej wiersze pisał na dzień jej imienin, po tylu latach pożycia małżeńskiego...?!  
7

\*

\*

\*





*Sulejówek. Basen na  
prawo—w głębi ulu-  
biona ławeczka.*

Zawsze z każdej drogi przywoził żonie i dzieciom upominki, ale że nie bardzo umiał Sam kupować, więc nieraz dostawały się im rzeczy niezbyt praktyczne. Z Paryża przywiózł jakiś jedwab, tak różowy, że nie było mowy o zużytkowaniu go. Marszałkowa ubierała się raczej ciemno, a dziewczynki były za małe, aby je stroić w jedwabie, ale w każdym razie myśl jego się wysilała, aby swoich obdarzyć i uradować. Chcąc przesłać im wiadomości — pisał — bo nie lubił telefonować, odczuwał zdecydowaną awersję do telefonu.

Ale nie wszystkie nowe wynalazki Go mierziły. Za kinem np. przepadał. Co niedziela po południu wyświetlano dla Niego obrazy amerykańskie, wesołe i awanturnicze, z których zaśmiewał się w towarzystwie Swoich córeczek i siostrzenic. Zanim kpt. Lepecki zajął się sprawą filmu dla Belwederu, dłuższy czas mnie i p. Adamowi Wisłockiemu powierzano wybieranie obrazów dla Marszałka. Najulubieńsze były wszystkie Paty i Patachony, Flipy i Flapy, Haroldy Lloyd, gonitwy, awantury i śmiech — jak najwięcej śmiechu. Broń Boże nie dramaty i płaksiwie tragedie.





Biegałam tedy od biura filmowego do biura, żeby coś odpowiednio wesołego znaleźć. Ale — podczas gdy Wanda i Jagoda entuzjastycznie się odnosiły do tych programów, siostrzenice Marszałka znacznie mniej. Przekładały tragedie. Opowiadały też Marszałkowi, jak się splakują po kinach, podczas scen szczególnie żalonych.

*Państwo Marszałkowie pod nowo-  
zasadzoną przez  
panią Marszałkową  
lipą w parku sule-  
jowskim.*

Zapamiętał to Marszałek. I kiedy raz — cudem — miał się dostać na ekran w Belwederze dramat z życia Szopena i kiedy weszły siostrzenice na salę, zastały każda ...chusteczkę do nosa, przygotowaną na krześle, do otarcia łez. Nie wiadomo zresztą, kto się bardziej bawił na seansach filmowych w Belwederze. Młodzież czy sam Marszałek?

Zastanawiałam się nad przyczyną owego stosunku Marszałka do filmu — stosunku, nieco bagatelizującego, nie uznającego w nim wartości wyższych, pewnego nawet dobrodusznego lekceważenia. Myślę, że szukać jej należy w tym, że Marszałek nigdy nie oglądał pięknego, artystycznego obrazu, na doskonałym ekranie dźwiękowym, tylko na zwiżanym, szwanku-



jącym ekranie domowym, a jeżeli kiedykolwiek był w kinie, to na jakimś uroczystym kiczu polskim, siedząc w odległości najmniej dla wzroku odpowiedniej, daleko, wysoko i etykietalnie. Nie mógł więc Sobie wyrobić istotnego pojęcia o kinie i traktował tak mniej więcej, jak myśmy traktowali je przed wojną.

Lubił natomiast operę, śpiew. Nie kto inny tylko Marszałek odkrył Kiepurę. Kiedy w roku 1925 zaprosili szwależerowie Marszałka w dzień Jego Imienin na uroczyste przedstawienie do Opery na *Straszny Dwór*, śpiewał w nim nieznany nikomu bliżej Kiepura. W antrakcie, artyści uprosili Marszałka, aby przyszedł za kulisy. Przyjmowali Go radośni i oszołomieni, składając życzenia. Marszałek uprzejmie chwalił i komplementował, aż w pewnym momencie zapytał, kto to jest ten młody człowiek, który tak pięknym głosem śpiewał to a to? Nie bez zdziwienia, że Marszałek go w ogóle zauważył, odpowiedzieli, iż jest to Jan Kiepura i młodzieniec miał szczęście zostać Marszałkowi przedstawiony. Ten ostatni uścisnął mu rękę i przepowiedział sukcesy.

W parę lat później, Kiepura, niedoceniany jeszcze u nas, stał się jednym z sławniejszych artystów na świecie.

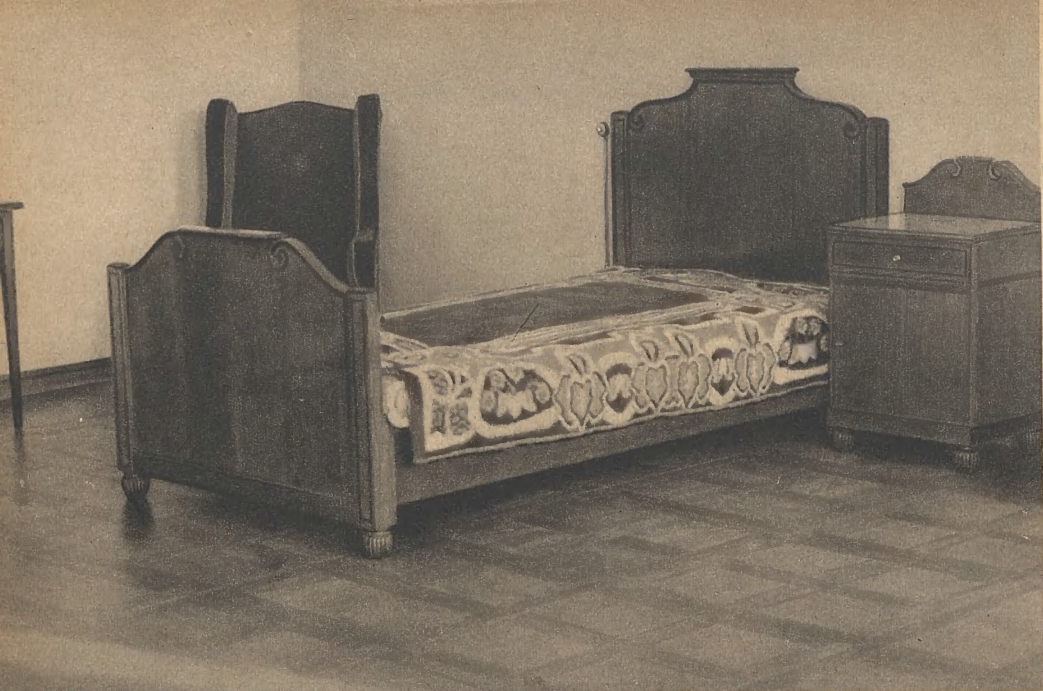
Zawsze podkreślał, że był odkryty przez Marszałka... Opowiadał mi to sam, w Sulejówku.





**JASNOWIDZTWO – WSTRĘTY  
WALORY TOWARZYSKIE**





*Sypialny pokój  
Marszałka w pa-  
łacu Rzeczypos-  
politej w Wilnie.*

**W** przepowiedniach, jasnowidztwie Mar-  
szałka, o Jego olbrzymiej sile sugestyw-  
nej, o tej ostatniej zwłaszcza — wiedzą  
już dzisiaj prawie wszyscy. Także gen.  
Wieniawa Długoszowski wspominał, jak pewnego  
razu, grając z jakimś „specem“ szachistą, sam, bez  
najmniejszego pojęcia o szachach, dał mu mata. Zdumiał się „spec“ i zdumiał się Wieniawa, a wtedy Mar-  
szałek, stojący obok nich w czasie gry, powiedział:  
— Wiesz, dziwna rzecz. Ile razy miałeś ciąg, my-  
ślałem: powinien tak a tak zagrać i istotnie robiłeś  
wszystko kolejno to, co w myśli ci przeznaczałem...

Zrozumiał wtedy Wieniawa, dlaczego wygrał i my-  
śle, że Polska też zrozumiała dzisiaj, dlaczego wy-  
grała niejedną wspaniałą grę, kiedy stał przy niej ten  
wielki, genialny, sugestionujący rozkazy i losy Czło-  
wiek.

A jednak i On, ten Wielki i Nieustraszony, miał  
Swoje słabe strony, nawet Swoje lęki. Jeden niewinny



karaluch np. mógł Go przyprawić o paniczną ucieczkę. Tak było w dniu akcji bezdańskiej. Szedł Piłsudski na jedną z najryzykowniejszych i najniebezpieczniejszych imprez, bez trwogi, spokojny i opanowany, ale kiedy raptem na środku podłogi ukazał się w izbie karaluch, zerwał się, blady, jakby dojrzał śmierć.

W związku z tym mało przyjemnym owadem, przypominam sobie jedną arcyprzyjemną chwilę. Kiedyś byliśmy przyjęci na „poimieniny“ Marszałka, 21 marca 1928 roku w Belwederze w parę osób: Jerzy Hulewicz z żoną, jeden z profesorów Uniwersytetu Wileńskiego, Jerzy Strzemię-Janowski i ja. Siedzieliśmy wszyscy w salonie, w tej pięknej wnęce pod pasem słuckim, fałisto rozpiętym, w której za lat siedem miał stać straszliwy katafalk. Marszałek był ożywiony jak nigdy — oglądał książkę, przywiezioną Mu przez profesora, i naciągał go w nieludzki sposób.

— Niech pani sobie wyobrazi — powiada do mnie — co oni mi dedykują! Jedna książka: *O rozmaitych odmianach nóg u karaluchów*. Druga: *O cynamonie*. No czy to może szanujący się człowiek czytać!?

Potem, z werwą i humorem opowiadał, jak jakiś tam paragraf nowej ustawy wojskowej wymagał, aby podano lata żon oficerskich.

— Oddano tę funkcję informacyjną podoficerom i ci mieli rubrykę lat owych pań wypełnić. I co się okazało!? Najstarsza generałowa nie miała powyżej lat 24!! No bo jakżeby śmiał podoficer...?

I znowu po chwili powrócił Marszałek do książki o karaluchach...

Jakże uroczym był causeurem! jak uprzejmym dla gości! Uprzejmy był zresztą i dla służby — ordynansi





*Józef Paszkiewicz  
woźny, stale przy-  
dzielony do służby  
Marszałka w pa-  
łacu Rzeczypospo-  
litej w Wilnie.*

musieli się zachowywać jak „cywile“, broń Boże nie „na baczość“. Umiał poza tym niesłychanie ostre i gwałtowne dawać reprimendy, najbardziej nawet kochanym oficerom (przypomnijmy jedną kartę na ten temat w przepięknych *Strzępach meldunków* gen. Składkowskiego!). Przed wezwaniem winowajcy, długo chodził po Swoim pokoju tam i z powrotem i rozmawiał ze Sobą głośno. Jak wszyscy samotnicy, bardzo często rozmawiał Sam ze Sobą, dlatego Jego pokoje musiały być dość izolowane, bo nie każdy był powołany do słuchania tego, co Wódz myśli...

\*

\*

\*

W Wilnie, w pałacu Rzeczypospolitej, miałem sposobność rozmawiać niedawno z Józefem Paszkiewiczem, woźnym, który był zawsze przydzielany do służby przy Marszałku, gdy tenże bawił w Wilnie. P.



Józef jest czerstwy, dobroduszny, miły, typowy Litwin, przeciągający zgłoski, jak ciasto sztrudlowe.

— Zawsześmy sobie na św. Józefa razem winszowali z panem Marszałkiem. Pan Marszałek podawał mi rękę i mówił: winszuję wam Józefie, a ja mówiłem: winszuję panu Marszałkowi. Pan Marszałek był zawsze dobry, nie gniewny, tylko nie lubił, żeby go pytać co będzie jadł. To zawsze mnie wysyłali pytać, bo na mnie się nie gniewał, a nawet czasem powiedział: zjadłbym to a tamto. Razu pewnego; kiedy cały gmach był w remoncie, straszna była burza na dworze, grzmot za grzmotem, a tu dają mi znać, że jakiś wojskowy przyjechał. Myślę sobie: pewnie znowu kontrola do remontu, a tu — patrzcie się ludzie! pan Marszałek stoi na przedpokoju cały mokry, aż się woda z czapki i płaszcza leje.

— A przytulcież no biedną sierotę! — powiada do mnie, a ja lecę do pana Wojewody (a Raczkiewicz wtedy był) i budzę go, że pan Marszałek z Druskienik przyjechał.

— Co też gadacie, Józefie? W taki czas, nocą, Marszałek?

— A ot stoi na przedpokoju, woda z Niego cieknie i mówi: przytulcie biedną sierotę...

Tak my się prędko zakrzętnęli i pomieścili pana Marszałka, choć cały gmach był wywrócony do góry nogami.

Czasem to pan Marszałek lubił pożartować. Raz chciał rodzinę Swoją postraszyć, że tu są duchy. Powiada do mnie: a prawda Józefie, że tu coś chodzi? Niby nie nie chodzi i nie straszy, ale ja widzę, że p. Marszałek chce koniecznie żebym powiedział, że straszy, więc mówię:



— A taki że tak. Bo kiedy niedawno chciałem się wódki napić, a boję się żony, więc kupiłem sobie flaszkę i schowałem tu w pokoju, zakorkowaną. Wieczorem przyszedłem kieliszeczek sobie pociągnąć, a tu zastaję tylko połowę flaszki. Znaczy się coś chodzi po pałacu.

Bardzo był p. Marszałek kontent, że ja mu tak pomogłem rodzinę przestraszyć, bo śmiał się i powtarzał do siostrzenic: a widzicie?! a widzicie?!...

W taki sposób odnosił się do maluczkich ten człowiek, przed którym bledli i mieszały się najwięksi i najślawniejsi...





**S**

**Z**

**Y**

**B**

**A**



**N**ieraz, patrząc w Belwederze na tę pastelową, ożywioną, uśmiechniętą twarz Marszałka, na ten arystokratyczny, cienki profil, uszereżony gęstwą brwi i wąsów, przypominałam sobie pierwsze z Nim spotkanie. Spotkanie przez szybę.

Jesienią 1915 roku wyrwałam się spod inwazji rosyjskiej i oczywiście całym tchem pędziłam na zachód, odszukać w Zakopanem swoją rodzinę, a także dostać się nareszcie do „moich“ strzelców, od których fronty mnie raptownie oddzieliły i o których nic nie wiedziałam. W Krakowie, na dworcu... niespodzianka! Areszt, bagnety, rewizja, marsz pod strażą do Festungskommando, 7-godzinne przesłuchiwanie itd. Wyrok: internowana! z zezwoleniem na 12-dniowy pobyt w Zakopanem, oczywiście pod dozorem żandarmerii.

Wychodzę z objęć austriackiej „ochrony“ w złym humorze, głodna i zmęczona i idę przed siebie spojrzeć na to miasto zawsze hejnałowe (tylko hejnałowe, bo miastem Czynu jest Lwów). Na A—B, starym zwyczajem, zatrzymuję się przed księgarnią. Skąpe w okresie wojny nowości wabią oko barwnymi okładkami — jest sporo austriackiego patriotyzmu na niektórych półkach — trochę wydawnictw niemieckich i mnóstwo polskich dewocjonalii. (Jakżeby się bez tego obeszło w Krakowie?)

Na drewnianym słupku, pośrodku szyby wystawowej, stoi małe popiersie z białej masy. Nędzna jakaś, tania robota, zwyczajna, tuzinkowa, ale kto to właściwie jest? Nie obca c. k. znakomitość, bo orzełka ma na czapce, a z polskich, kto? Nie znam nikogo w historii, którego bym mogła podporządkować tej



marsowej twarzy i tej maciejówce z orzełkiem. Jednak intryguje ta twarz biała za szybą, w banalnej formie podana, a tak mało banalna.

Wchodzę szybko do sklepu i pytam rozkudłaczoną wdzięcznie panienkę za ladą:

— Przepraszam panią, czy może mnie pani poinformować, kogo przedstawia to popiersie na wystawie?

Serce mi bije nie wiadomo dlaczego, a panienska mierz mi wzrokiem pełnym nieukrywanej pogardy i odpowiada zirytowana:

— No jakże! Przecież Piłsudski.

Wróciłam na moje stanowisko przed szybą i patrzę długo, patrzę wieczność, patrzę za wszystkie przeszłe i przyszłe pokolenia. Teraz nawet rozumiem, dlaczego mi serce biło i dlaczego rozkudłaczona panienska się zirytowała.

Nie można było nie wiedzieć! Na tośmy przecież czekali nie rok, nie dwa, nie sto. Na tośmy ginęli na polach walk, w więzieniach i w katorgach. Za tą szybą cienką i zimną, jest ta głowa z pieczęci, z takich, które zdobią wiekopomne akty. Wosk biały, który stwierdza niezłomnym, marsowym profilem, iż powstaje państwo, iż kończy się lub zaczyna wojna, iż buduje się prawo, wykreśla lub skreśla granica. Za tą szybą cienką i zimną patrzą oczy, niepohamowanego gniewu pełne, i usta pełne nakazów. A może samo serce Polski, rozpoczynającej swe życie na nowo.

Nie wiem.

\*

\*

\*

Było coś cudownego i druzgocącego w tym moim pierwszym spotkaniu z Józefem Piłsudskim i takim



pozostał dla mnie nawet wtedy, gdy Go tylokrotnie już żywym, nie woskowym widziałam: nie tylko Wódz, nie tylko Wskrzesiciel, nie tylko Prawodawca — ale głęboko się żłobiący, białym woskiem, na wiekuistych pergaminach, profil marsowy, pieczętujący życie narodu.

Zaś dla mojej niewiedzy, dla małości, dla naszej swarliwej małości, dla naszych gestów nieposkromionych, dla naszych oddechów gorących lub trujących — ta właśnie szyba, cienka i zimna.





# **ŚWIATŁO W CIEMNOŚCIACH**





zasem na księgę dziejów dmuchnie jakiś nagły wiew i karty powolutku obracają się wstecz. Dni, pędzące cwałem przed siebie, zatrzymują się jakby i wtedy wyłaniać się zaczynają owe tajemnicze analogie, transcendentalne związki — tylokrotnie zauważone w dziejach narodów. Zwłaszcza, gdy Historia się wysili, gdy nawał nieprawdopodobieństw zaleje jakiś punkt globu, rozpalając do białości jego powierzchnię — przychodzi chwila nawrotu z przeszłości i podobieństw uderzających.

Po prostu jakby Historia nie mogła już nic nowego wymyśleć.

Właśnie nad Rzeczpospolitą wysiliła się Historia czasu wielkiej wojny. Spadł grad fenomenów i z cudem graniczących wydarzeń. Toteż coraz to obracają się wstecz karty dziejów polskich — bez szelestu przebiera w nich wiew z zaświatów i zatrzymuje się na mistycznej „g o d z i n i e d w u n a s t e j“, na godzinie wspominków.

W latach od 1914, kiedy na rozgorzałych frontach spała umęczona wiara leguńska — pod jednym tylko namiotem w późną noc, do świtu raczej, świeciła samotna, czuwająca lampka Wodza. W latach 1917—1918 był Wódz nieobecny. Tragicznie nieobecny. Tak samo jak dziś, bezpośrednio po Jego zgonie, wydawało się, że kraj tonie w żałobie i bezradności. Najdzielniejsi zwątpili, gdy odjechał pociąg Wodza, wiozący Go na zachód, na dalekie, zupełnie nieznane przeznaczenie. I cóż? Okazało się, że dobry Gospodarz nie pozostawił łąnów swoich bez obsiewu. Okazało się nawet, że bujnie posiew ów wzrasta, nasila się, tężeje — poza Nim już? Że rozwiązane pozornie tworzywo żół-



nierskie nabiera właśnie nowych soków, że potężnieje w głuchej, podziemnej Polskiej Organizacji Wojskowej.

Wyznaczony przez Marszałka zastępca, płk. Rydz-Śmigły dowodzi, rozkazuje, kształci, a rozkazy jego przyjmowane są ślepo, ochoczo przez wszystkie dzielnice Rzeczypospolitej i nigdy dopływ do wojska nie był tak skwapliwy, nigdy posłuch tak doraźny. Było żalobnie, było sieroco, ale nie mogło już zmartwieć ziarno, rzucone przez Piłsudskiego w śpiącą glebę Wolności. A oczy łzami zalane dostrzegały w oddali wyraźne opiekuńcze, kojące, samotne światelko, zawieszane za kratą celi magdeburskiej. Obecność Wodza była właściwie zasadniczo fikcyjna, a jednak niezaprzeczalnie istotna.

A dziś? Dziś tak samo. Wódz jest też nieobecny. Pociąg ostatni odwiózł Jego srebrną trumnę na Wawel. Tak samo kraj zatonął w żalobie i opuszczeniu. Najdzielniejsi zwątpili, gdy 12 maja gruchnęła okropna wieść, iż nie ma Go już między nami. Nikt Go Bogu nie denuncjował — jak wtedy, Prusakom — a mimo to zabrały Go na swe skrzydła nieznane anioły.

Moment z lat 17-ych powtórzył się w całej grozie i — w większej stokroć grozie, bo już Wódz nie wróci nigdy, ani dziś ani jutro, i żadna siła nie odda Go narodowi z powrotem. Druzgocącą gorycz tej świadomości oddała w jakże pięknej, choć rustykalnej, rzewnej formie, kolęda Iłakowiczówny:

„Jak ma żołnierz Dziecię chwalić,  
kiedy Wodza mu zabrali?  
jak ma śpiewać, kolędować,  
kiedy w gębie gorzkie słowa?



Miałeś Boże pokolei  
i łobuzów i złodziei,  
serca tłuste, głowy puste,  
tylu draniów, drapichrustów  
wzięłbyś ich — co nam do tego?!  
a Tyś wziął Sprawiedliwego...

Jak ma żołnierz słać Marię,  
kiedy Dziadek umarł w maju?  
Twój to miesiąc, Panno miła  
Tyś do tego dopuściła!  
Złeś Go strzegła, Matko święta  
żołnierz Ci to popamięta..."

Lecz — na Jego osieroconym łanie inaczej już jest, niż za lat magdeburskich. Dobry Gospodarz nie odchodzi, zanim pracy nie ukończy. Toteż i wojskiem rządzi, identycznie jak wtedy, za niewoli, Rydz-Śmigły i pusty za niewoli odcinek władzy cywilnej obsadzony jest dzisiaj mocno i trwale, a Rzeczpospolita już wpisana definitywnie do wielkiej karty niezależnych państw europejskich. Nie odszedł Wielki Gospodarz, nie zabezpieczywszy tych Swoich domostw ze wsząd, nie otuliwszy ich zewsząd od zimnych wiatrów sąsiednich i od gejzerów, wybuchających wewnątrz — tak często ongiś, tak lekkomyślnie i nieopatrnie.

Nie odszedł przede wszystkim, nie wyłożywszy przykładem osobistym dokładnie, czym dla każdego człowieka jest wielka, wspólna rodzina ojczysta i czym jest mała rodzina, własna, pepiniera cnót obywatelskich i radość umęczonego serca.

I tak jak wtedy, przed laty 20, płonęła na froncie samotna lampka Wodza pod namiotem, jak przed laty osiemnastu, smutnym, samotnym, opiekuńczym świat-



łem płonąła lampka za kratą celi magdeburskiej, przypominając nam, że Wódz czuwa, zawsze między nami duchem obecny — tak samo tli dzisiaj nam, naszej Ojczyźnie i naszym rodzinom, samotna lampka wieczysta, zawieszona na łańcuszkach w krypcie św. Leonarda. Przypomina, że Józef Piłsudski jest między nami i będzie do skończenia świata, bo Dzieło Jego jest pewne, nie ulegające wstrząsom i nienaganne.

Warszawa 19 marca — 12 maja 1936.









**S Ł O W O   K O Ń C O W E**



**L**udzie najwidoczniej są spragnieni wiadomości, jak żył w zaciszu domowym ten wielki, przerastający wszystkich Józef Piłsudski, bo zaledwie się rozeszła wiadomość, że piszą książkę na ten temat, posypały się listy i zapytania, miłe propozycje pomocy w wynajdowaniu fotografii (np. sasanek, których piękne zdjęcia dostarczyła mi p. Jadwiga Siemieńska), a nawet amulety i relikwie.

Anonimowa, nabożna jakaś wielbicielka Marszałka przysłała mi obrazek święty z relikwią małego 10-letniego Guy de Fontgalland, z dopiskiem:

„Słyszałam, że pani pisze książkę o Marszałku. Marszałek lubił dzieci, więc TO DZIECKO pani w pracy dopomoże.“

Wszystkie sfery, wszystkie poziomy intelektualne zainteresowane są sprawą, jakim był Marszałek Piłsudski poza pompą oficjalną, poza buławą, poza sławą.

*M. J. W.*









# S P I S   R O Z D Z I A Ł Ó W

|                                                                                         | Str. |
|-----------------------------------------------------------------------------------------|------|
| Latarnia morska . . . . .                                                               | 7    |
| Szczodrobliwy pan . . . . .                                                             | 11   |
| Światy i zaświaty . . . . .                                                             | 17   |
| Belweder — rodzinne zacisze . . . . .                                                   | 25   |
| Mamona . . . . .                                                                        | 33   |
| Morze — propaganda morza i sasanki . . . . .                                            | 37   |
| Eksterytorialność marzenia . . . . .                                                    | 43   |
| „Towarzystwo Przyjaciół Rzeczy Przyjemnych a Nieko-<br>niecznie Pożytecznych“ . . . . . | 49   |
| Jednodniowy adiutant „z gażą“ . . . . .                                                 | 59   |
| Dzikie kaczusie w czerwonych kryzach . . . . .                                          | 61   |
| Literatura i ułomność . . . . .                                                         | 69   |
| Edukacja córek . . . . .                                                                | 75   |
| Pasjanse i zakon samotności . . . . .                                                   | 91   |
| Ostatnie za życia imieniny . . . . .                                                    | 97   |
| Dni radości — filmy — teatr . . . . .                                                   | 105  |
| Jasnowidztwo — wstępy — walory towarzyskie . . . . .                                    | 111  |
| Szyba . . . . .                                                                         | 117  |
| Światło w ciemnościach . . . . .                                                        | 121  |
| Słowo końcowe . . . . .                                                                 | 127  |





NAKŁADEM GŁÓWNEJ KSIĘGARNI WOJSKOWEJ, WARSZAWA, KRAKOWSKIE  
PRZEDMIEŚCIE 11. - OPRACOWANIE GRAFICZNE ATELIER GIRS-BARCZ,  
W WARSZAWIE. - Drukarnia Narodowa w Krakowie



